Miejski Ośrodek Doradztwa Metodycznego w Białymstoku
15-476 Białystok, ul. Poleska 27
tel./fax 85 664 23 51, e-mail: modm@modm.bialystok.pl
www.modm.bialystok.pl

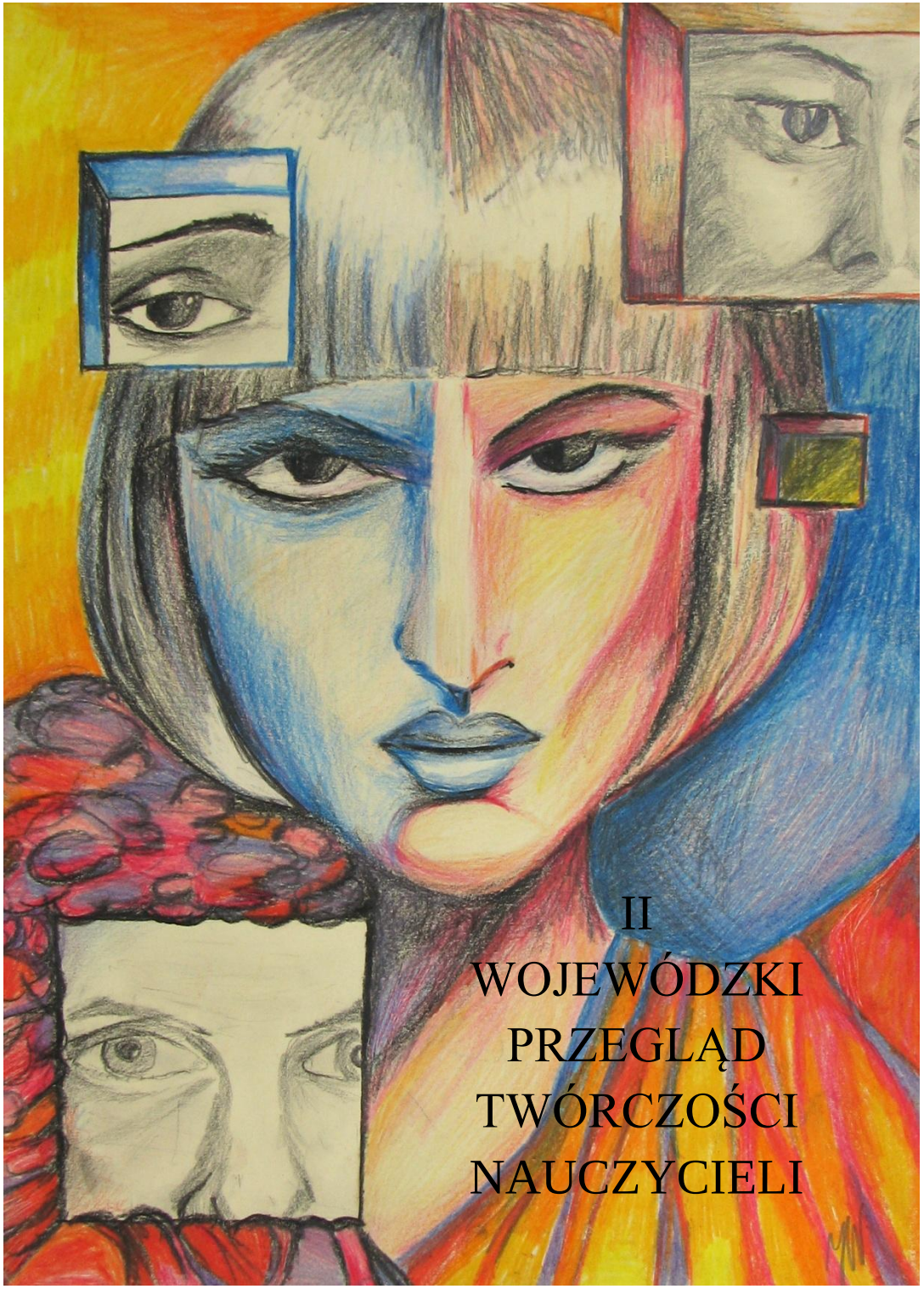

II WOJEWÓDZKI PRZEGLĄD TWÓRCZOŚCI NAUCZYCIELI

II Wojewódzki Przegląd Twórczości Nauczycieli

Organizatorzy:

Miejski Ośrodek Doradztwa Metodycznego
w Białymstoku

Szkoła Podstawowa nr 15
im. Marii Skłodowskiej-Curie w Białymstoku

Honorowy Patronat:

Podlaski Kurator Oświaty

Prezydent Miasta Białegostoku

Wydawca:
Miejski Ośrodek Doradztwa Metodycznego w Białymstoku
15-476 Białystok, ul. Poleska 27

Opracowanie i skład komputerowy:
Wiesław Woronowicz *– nauczyciel konsultant MODM Białystok*

Okładka:
Gniew Kobiety - Jolanta Nieborak

II PRZEGLĄD TWÓRCZOŚCI NAUCZYCIELI BIAŁYSTOK, 2012

WSTĘP

Prawdziwa sztuka to taka, która powstaje dzięki potrzebie tworzenia.

(Albert Einstein)

I i II Przegląd Twórczości Nauczycieli pozwoliły nam odkryć, jak niezwykłe jest środowisko nauczycieli miasta Białegostoku.

Jest wśród nas wiele niezwykłych osób, które poza codziennym pedagogicznym rzemiosłem mają swój inny świat, a w nim piszą, malują, śpiewają, komponują, grają na instrumentach. Zapewne ich praca z uczniami też jest dziełem sztuki.

Mamy nadzieję, że ta skromna publikacja, w której umieściliśmy tylko prace literackie nagrodzone w 2012 roku oraz przykładowe prace plastyczne pozwoli choć trochę odczuć atmosferę spotkania, które odbyło się 8 marca 2012r. w Szkole Podstawowej nr 15 im. M. Skłodowskiej Curie w Białymstoku, gdy w obecności autorów mogliśmy usłyszeć wiersze, opowiadania oraz piosenki w mistrzowskim wykonaniu dzieci i aktorów.

Publikacja składa się z 3 części: poezja, wiersze dla dzieci i opowiadania dla dzieci.

Mamy nadzieję, że przegląd wejdzie na stałe do kalendarza wydarzeń w każdym roku szkolnym i będziemy mogli poznawać kolejnych nauczycieli- artystów znanych dotąd tylko najbliższym, a ich twórczość będzie tym pięknem, które wzbogaca każdy dzień.

Doradcy Metodyczni MODM:

Anna Stankiewicz, Elżbieta Babicz, Kamilla Przychodzień

Artysta jest twórcą piękna.

(Oskar Wilde)

Na starych Bojarach

Na starych Bojarach
Chaty rozdziawiły swoje okiennice
Jak przekupki gęby na targu

Słychać wszędzie kapustę
Mydlane pranie i smakowite ciasto

Tu wszyscy wszystko o sobie wiedzą
W duszach można im czytać
Jak w kronikach miasta

Pod jabłonią która już jabłek
Nie rodzi ze starości
Pewien przyjazny cień prosi w gości
Na smakowity kawałek ciasta

A w powietrzu słychać
Jak między trzaskami radia
Z uporem przeciska się skoczna muzyka
Która nikogo o zgodę nie pyta
Niczym młoda dziewczyna
Wesoło wpada na podwórka
Między kury kaczki
I rozwrzeszczane dzieciaki

Ten dzień codzienny
Przyciąga uwagę słońca
Z uciechą zagląda w oczy mieszkańcom
Biega między oknami a rozwieszonym praniem
Ślizga się po dachach i siada na płotach
Jak tutejsze koty przeciąga się i mruczy
Wreszcie spada na ziemię i odchodzi
Czy będzie miało gdzie jutro wrócić?

Anna Bayer

Kamienne praczki

Pamięcią moich przodków
Pamiętam

Skórą na której gęsia skórka
Czuję

Własnym sercem
Kocham

Kamienne praczki
Które gdyby nie były kamienne
Miałyby zmarszczki
Ich ręce zgrabiale od wody kamiennej
Piorące wśród kwiatów tak pięknie
Między jednym a drugim praniem
Uśmiechają się do siebie
A kiedy nikt nie patrzy piorą miejskie ploteczki

Znów jesień pogoda liryczna
Liście w parku spadają
Z wiatrem w miłosnym uścisku
Praczkom prać przeszkadzają

Anna Bayer

Nic więcej nam nie trzeba

Mówią o nas z ironią
Rzadziej z podziwem
Jesteśmy Boga dziećmi
Który u nas różne ma imię

Jesteśmy szczerzy i otwarci
Ktoś powie nieskomplikowani
Zbyt mało europejscy
Dobitniej zacofani

Mieszkańcy gorszej Polski
A ja pytam co to znaczy?
Na zbyt jesteśmy dumni
Na zbyt nie byle jacy

Zbyt wiele w nas tradycji
I Boga ukochania
Poezji wielkich myśli
Śpiewu w duszy grania

Zbyt wiele wytrwałości
Uszanowania chleba
Szacunku do człowieka
Nic więcej nam nie trzeba

Anna Bayer

Zimowe szczęście

Koronkowe płatki śniegu,
Bezszelestnie otulają samotne drzewa,
I śniące o szczęściu zimowe róże.
Wybielają brudne chodniki,
Szlaki nieustających naszych ziemskich podróży.
A tu tylko biały puch dookoła,
Sypie się z okien Pierzastego Anioła,
Przystrajając w oszronione diamenty,
Piękną jarzębinę,
której korale ust wabią,
Szczebioczące sikorki i dostojne gile.
Wpatruję się w ten zimowy świat,
Zamknięty za szybą chłodu,
I szukam Twoich śladów,
które zgubiły w śniegu ścieżkę,
Do mojego serca i domu…
Zamknięta w śnieżnych zaspach samotnych myśli,
Błądzących po bezkresnych polach,
Otulam ciepłym szalem drżące z zimna ramiona,
I wtulam się cicho w dziecięce marzenia,
Mknące przez noc w śnieżnych saniach,
Wśród skrzących się gwiazd
Po srebrnych ażurowych przestrzeniach.
By spłynąć łzą gorącą,
Na Twoje lodowate serce,
I zamknąć pocałunkiem,
W ośnieżonych dolinach naszych dłoni
I przysiąść w milczeniu…
Na pokrytej śniegiem i szczęściem ławeczce.
Niech otulą Cię płatki śniegu przynoszące szczęście.

Bogusława Czyrska

Morska nostalgia

Jedna kropla słonej łzy
Przelała ocean duszy,
Aż po horyzont serca…
Szum pieniących się fal zagłuszył ,
Natrętnie powracające smagane wiatrem słowa
i ciemne jak burzowe chmury myśli,
Wyrzucane na brzeg
w kruchych , małych muszelkach,
Czy ktoś pochyli się,
By z czułością zamknąć je w cieple dłoni?...
Sztormowy wiatr porywa,
Moje ciche tęsknoty i uśpione marzenia,
W nieznaną podróż, na daleki ląd,
Gdzie ziarenka złotego piasku
Otulą szczelnie moje ciało,
Delikatnym szalem o zapachu bryzy morskiej,
w kolorze nieba podziwiającego zachód słońca,
A słone łzy i wspomnienia zastygną w wieczności,
w bursztynowym krysztale serca,
należącym do głębin królewskich Neptuna
i błądzącego po plaży Anioła,
szukającego bursztynowego talizmanu szczęścia
-Mojego Ziemskiego Latarnika.

Bogusława Czyrska

Przebudzenie

Słońce wita Ziemię gorącym pocałunkiem,
A ja witam Ciebie spojrzeniem rozkwitających niezapominajek,
Kusisz mnie jeszcze zapachem upojnej maciejki,
Zatrzymanym w księżycowym widoku,
I w poduszce skrywającej senne marzenia ,
Spadających gwiazd z pierzastego obłoku.
Ale promyk słońca przedziera się natrętnie
Przez firanki naszych rzęs,
Z obietnicą na dobry dzień,
Z zaspanym jeszcze preludium poranka,
Zasłuchanym w śpiewie przebudzonych ptaków,
Tulących się do siebie,
w jeszcze ciepłych gniazdach…

Twoje ciche słowa,
Zatrzymuję pocałunkiem
Złożonym na różanych płatkach ust,
Jak talizman szczęścia,
Chroniący przed złem i szarością wstającego świata.
I jeszcze tylko ostatnie spojrzenie,
w rozpływający się sen,
I cicha modlitwa do Stwórcy,
Rozkwitająca kobiercem kwiatów,
W podziękowaniu za kolejny poranek z Tobą,
i uśmiech Anioła Stróża- z Twoją twarzą,
Zstępującego każdego poranka na Ziemię
z sennego obłoku polnych maków.

Bogusława Czyrska

A wczoraj… /2005/

A wczoraj…
Odwiedziłam niebo
w bezkresie jego błękitności,
w nieskończoności jego trwania
i w bezpowrotnej ulotności.

A wczoraj…
Odwiedziłam ziemię
i jej realne korytarze,
dotyku lekką namacalność
i w czasie szybki bieg wydarzeń.

A wczoraj…
Odwiedziłam piekło,
nicości pustkę obnażoną
i miłość w niej ukrzyżowaną,
w ciemność przestrzeni zanurzoną,

A wczoraj…
Odwiedziłam siebie…
Odkryłam smugę swego cienia,
i tą bezradność wobec jutra
i tajemnicy przeznaczenia.

Jolanta Nieborak

Niebieski /2004/

Niebieskie niebo,
Niebieska ziemia –
Niebieskie oczu otchłanie…

Niebieskie deszcze,
Niebieskie burze,
Niebieskich dolin wołanie!

Niebieska miłość,
Niebieskie szczęście,
W niebieską wodę wplatanie.

Niebieski pokój,
Niebieskie ściany,
Niebieskich ciał falowanie…

Niebieskość żółcią promieniejąca –
Wczoraj, dziś, zawsze…
Bez końca!

Jolanta Nieborak

… ość /2004/

Świetlista egzotyczność,
Ciepło westchnień,
Ulotność dźwięków…
Melodii miękkość…

Głosu bliskość
I ciała odległość..
Przestrzeni szerokość…
I nieosiągalna jej trójwymiarowość.

Słoneczna kształtność,
Wirtualna namiętność,
Niemożność bycia…
Myśli nieprzyzwoitość…

To wszystko…
To tylko świata realność,
Marzeń przezroczystość
I senność wspomnień.

Jolanta Nieborak

Zegar

Ze wszystkich twarzy
najmniej widać upływ czasu
na twarzy zegara
wiecznie młoda godzina pierwsza
nie ma podkrążonych oczu
godzina dwudziesta czwarta
zmarszczek na czole
godzina trzecia posiwiałych włosów
godzina dziesiąta
przytępionego słuchu
godzina dwunasta
trzęsących się dłoni
godzina czternasta
niedowidzących oczu

Tętno równe
sześćdziesiąt sekund na minutę
sześćdziesiąt minut na godzinę

wskazówki drwią z nas
wykrzywiając się w uśmiechu
dla nas czas płynie
każde pięć minut trójkąt wycięty z koła życia

Anna Pęza

****

Święty Piotrze
W dzień moich urodzin wręczyłeś mi zaproszenie na ucztę,
Przyjęłam je wierząc, że niedługo powrócę
tak jak odeszłam w białej sukni z liliami w mych długich włosach

minęły już 32 lata
ciągle ucztuję
próbuję coraz to nowych potraw
smakuję różne gatunki win
poznaję innych gości

są chwile
kiedy się modlę
wtedy chcę byś mnie stąd zabrał jak najszybciej

Pobyt tutaj to czasem przeogromny ból
stopniowe wewnętrzne umieranie
wzajemne wykańczanie się

To przykre
wiem
Mam wrażenie, że starzeję się razem z innymi
trwam w nic nie znaczącym bezruchu
stając się jedną z gości

Święty Piotrze
wiedz ,że gdybym miała świadomość,
że przy moich narodzinach
nie dasz mi całkowitego prawa decydowania o sobie
nie przyjęłabym Twego zaproszenia

Anna Pęza

Książki

Wertuję stronnice książek
bardzo przy tym przewracam oczyma
choć mnie tam nie ma

Lubię wtedy czuć zapach pomarańczy
może zaraz ktoś zatańczy

Ludzkie losy
rozpuszczam długie kasztanowe włosy

Wczuwam się w światy, których nie jestem częścią
Przenoszę się w tu i teraz lecz wtedy bardzo źle z moją pamięcią

Mówisz ucz się na cudzych losach nim doświadczysz sama
Nie potrafię tego wcielać w życie już od rana

Analizuję ich płacz, ból, strach, obawy
Mam przed oczami straszne zjawy

Cudze losy nie uratują mnie przed cierpieniem
które realnie stało się moim pragnieniem

Anna Pęza

***

Prawdy nieodkryte gnieżdżą się w naszych głowach.
Pragniemy geniuszu, sławy , wielkości.
Nieliczni w bólach doświadczają potęgi,
czasami cierpią w poczuciu przegranej.
Los nie jest nam dany ,nie jest z góry przesądzony,
tylko marzenia, na krótką chwile, budzą w nas bogów.

Katarzyna Zalesko

Kłamstwo

Kobieta , dziecko, mężczyzna.
Świat zaplątany w pajęczynę życia i śmierci.
Ona tylko chciała być, on tylko chciał mieć.
Czasowniki , tryby, osoby -
brak aspektu całości
A gdyby to ująć w ziarenko?
Ułomność duszy boli ,gdy świat pozostaje.

Katarzyna Zalesko

Refleksja

Las… cisza… świat jest daleko,
został gdzieś tam… za asfaltową rzeką,
chmury z majestatem wędrują po niebie,
mogę wreszcie bez przeszkód usłyszeć, poczuć siebie.

Chłonę spokój, szum drzew, woń kwiatów niepozornych,
marzenia zastępują tłum myśli niepokornych.
Życia pociąg tak szybko wciąż pędzi bez wytchnienia,
jak dobrze, że tu jestem, mam chwilę zapomnienia…

To prawda, czasem jestem outsiderem z wyboru,
cóż z tego, że się śmieją z mych strojów lub humorów.
Przestałam się przejmować: co myślą, co powiedzą…
niektórzy jak te sroki, „błyskotki” życia śledzą.

Ważne, że jestem tutaj, liczę smugi na niebie…
nie płaczę, gdy przypadkiem oglądam się za siebie.
Nie wiem, co mi wyszyje losu przewrotna nić,
cieszę się, że jest „dzisiaj” i mogę dalej żyć…

Elżbieta Zarzecka

Rozmowa

Wierzysz? – czy to inni wierzą wciąż za ciebie?
Masz nadzieję? – tak, że lepiej będzie w niebie.
Kochasz? – tak myślę, lecz nie mam na to czasu.
Żyjesz? – oczywiście, o co tyle hałasu?!
Po co te pytania, slogany utarte,
moje życie tutaj przecież jest coś warte!
Przecieram uczciwie szlaki codzienności,
czasami rutyna gdzieniegdzie zagości.
Mam wzloty i upadki – jak inni – przecież wiesz.
Nie męcz mnie, już wystarczy! Czego ty jeszcze chcesz?!
Nie wiesz? Naprawdę? Czy tylko udajesz?
Czy wyrosłaś z marzeń jak z dziecięcych bajek?
Kiedy się szczerze zaśmiejesz i uczciwie zapłaczesz?
Czy ja – przyjaciółka – coś dla ciebie znaczę?
Przestań wciąż krytykować, wtrącać się w czyjeś sprawy!
Innych krzywdzisz, a sobie dostarczasz zabawy.
Zacznij żyć swoim życiem, spójrz na swoje wady,
nie narzekaj, że z dziećmi już nie dajesz rady.
Zatrzymaj się, zastanów i nie mów: taka jestem,
stać cię na to, by innych obdarzyć czułym gestem.
Dziwisz się? To możliwe, gdy przetniesz zawiści nić
i powiesz sama sobie: nie chcę tak dalej żyć!
Dlaczego nic nie mówisz? Myślę, że zrozumiałaś,
przecież cię nie rozliczam, ile razy kłamałaś.
Chcę tylko, abyś „prawdziwie” zaczęła wreszcie żyć.
Tak myślisz? Cóż, spróbuję, bo nie chcę w tym wirze już tkwić.

Elżbieta Zarzecka

Prędzej

Gonisz jak ryba za przynętą,
jak zgaga za ożywczą miętą,
jak jawa, co wygrywa ze snem,
gonisz, jakbyś uciekał przed lwem.
Gonisz, a czas „przed nosem" ci ucieka,
gonisz, bo gdzieś tam ktoś na ciebie czeka,
gonisz, bo sobie coś zaplanowałeś,
gonisz i nagle…zapomniałeś…
O kimś? O czymś?
Nie, tylko o sobie…
O tym, że jesteś… po prostu, zwyczajnie,
o tym, że bez gonitwy także bywa „fajnie",
o tym, że potrzebujesz czasem się przytulić,
o tym, że ci wolno nawet się rozczulić.
Tak, tak – śmiej się, tańcz i płacz,
wzruszaj, krzycz, i skacz!
Otwórz się, poczuj i trwaj w pędzie… chwili…
Widzisz? To proste! Nie musisz gonić,
wolno ci „bimbać" i czas roztrwonić.
Pamiętasz o innych? Pamiętaj też o sobie!
Radość z bycia szczęśliwym nie pomiesza ci w głowie!
Jesteś tu, by doświadczać różnych aspektów życia,
pośpiesz się abyś zdążył, bo to kwintesencja „bycia".

Elżbieta Zarzecka

O smoku wawelskim

Tam, pod Wawelem,
Tam, w smoczej jamie
Mieszkał smok wielki,
Żarłokiem zwany.

Tam, pod Wawelem,
Tam, w grodzie Kraka
Smok owcę połknął.
Biada mu za to!

Tam, pod Wawelem,
Gdzie Wisła płynie
Ogień smok gasi,
Od siarki ginie.

Tam, pod Wawelem,
Tam legenda stara
Jest podawana
Z dziada pradziada.

Joanna Kulikowska-Jopich

Przerwany hejnał mariacki

W XIII wieku w starym Krakowie
żyli spokojnie nasi przodkowie.
Siwy trębacz czuwał na wieży:
Najazd tatarów! Kto uwierzy!

Trębacz do walki rycerzy zagrzewał,
znaną melodią mieszczan ostrzegał.
Od strzały tatarskiej marnie ginie
lecz pamięć o nim nigdy nie zaginie.

Na mariackiego kościoła wieży
rozbrzmiewa hejnał. A kto nie wierzy,
radio niech włączy, gdzie na cztery świata strony
rozbrzmiewa w południe hejnał utracony.

Joanna Kulikowska-Jopich

Waligóra i Wyrwidąb

Dawno temu u źródeł Wiły
Żyli dwaj bracia ogromnej siły.
Jednemu matką wilczyca była,
Drugiego zaś niedźwiedzica wykarmiła.

Czy znacie tych braci?
Posłuchajcie sami:
Jeden dęby wyrywał,
Drugi góry rozkruszał rękami…

Szczęśliwie razem od tej pory żyli,
Gdy jednym ciosem smoka zgładzili.
Wzięli królewskie córki za żony,
Król dołożył im berła i korony.

To Waligóra i Wyrwidąb
Już wiecie to sami…
Odważni dwaj bracia
Tacy, jak wy sami.

Joanna Kulikowska-Jopich

Pozdrowienia od Pani Wiosny

Jestem listonoszem i listy roznoszę.
Dziś wam wiadomość od wiosny przynoszę.
Spotkałam ją po drodze.
Była cała zielona, suknię miała w kwiaty,
a nad nią leciał ptaszek pstrokaty.
Powiedziała mi, że musi obudzić ziemię, rośliny i zwierzęta,
więc teraz jest bardzo zajęta.
Napisała do was list, prezenty wam przysyła
i pozdrawia serdecznie Pani Wiosna miła!

Małgorzata Nieścior

Wesołe podwórko

Na wiejskim podwórku od samego rana
budzi mnie gromadka zwierząt bardzo rozbrykana.
Kogut pieje „Kukuryku! Kto tu robi tyle krzyku?”
Kura gdacze „Ko, ko, ko! Gdzie jest moje jajeczko?”
Kaczka kwacze „Kwa, kwa, kwa! Ja chcę jeszcze smacznie spać!”
Piesek szczeka „Hau, hau, hau! Gospodarzem jestem ja!”
Kotek miauczy „Miau, miau, miau!
Mleczka napić bym się chciał!”
Koza meczy „Me, me, me! Dzisiaj chyba trawkę zjem!”
Wszędzie głośno, wszędzie wrzask, więc nie mogę dłużej spać!
„Chodźcie, chodźcie na śniadanie, moje zwierzątka kochane!”.

Małgorzata Nieścior

JAN PAWEŁ II

Mam dopiero sześć lat i poznaję ciągle świat.
Choć umiem dużo, to wciąż za mało,
ale o jednym człowieku wiem już niemało.
O Papieżu Polaku, którego nie znałem,
ale dzięki Rodzicom i Dziadkom bardzo pokochałem.
To Karol Wojtyła, nasz rodak kochany,
dawno temu został na Papieża wybrany.
Moja rodzina Go mocno kochała,
słuchała słów Jego i je wypełniała.
Nie mogłem poznać Papieża, bo byłem jeszcze mały,
ale wiem, że kochał on ludzi i świat cały.
Mówił o Jezusie, miłości do człowieka
i przypominał, że Matka Boża, na naszą modlitwę czeka.
Papież uczył ludzi pokoju i zrozumienia,
mówił, że miłość każdego przemienia.
Chcę jak On być blisko Jezusa,
słuchać zawsze Dziadków, Mamy i Tatusia.
I często lubię pocieszać siebie,
że kiedyś spotkam się z Janem Pawłem II w niebie.

Małgorzata Nieścior

ACH, TA MOJA MAMA…

Ach, ta moja mama…
Przez telefon gada,
a do mnie tak mówi:
tobie nie wypada,

bo jesteś za mała,
bo upuścisz z ręki,
a ja tak bym chciała,
a ja cierpię męki.

I już wcześnie rano,
gdy otworzę oczy,
na komórce siedzi,
a rachunek skoczy.

Pyta przez telefon
tatę, kiedy wróci
i czy zabrał czapkę,
i nawet się kłóci,

no bo tata przecież
ledwie co wyjechał.
Za oknem dwa z plusem
i z czapką tak zwlekał.

Wtedy mama drąży
babci dziurę w brzuchu,
że na dworze zimno
i ma przyjść w kożuchu.

Ach, ta moja mama…
Zapomniała o mnie.
Jak kupię komórkę,
to sobie przypomni.

Halina Wakuluk

MARTA I LUSTERKO

Jestem tylko jedna,
jedyna na świecie –
mówi moja mama.
Nie wiem, czy to wiecie?

Ale dzisiaj rano
szok przeżyłam duży.
Coś się, coś się stało,
i tak mnie to burzy.

Przede mną dwa piegi
na nosku niedużym
i jakaś dziewczynka
oczy sobie mruży.

Bliżę się i dalę,
a ona tak samo.
Grzywkę mi poprawia
i stuka w kolano.

I sama już nie wiem,
co mam począć, biedna? –
z takim ambarasem:
czy ja jestem jedna?

Jedna Marta, jedna,
czy są Marty dwie?
Którą mama kocha? –
ją czy może mnie?

Halina Wakuluk

JESTEM JAK OKRUSZEK

Jestem jak okruszek.
Mieszkam pod Twym sercem
i bardzo mnie wzrusza,
jak słyszę Cię więcej.

I więcej mnie głaszczesz
i śpiewasz tak ładnie,
a ja w dłonie klaszczę,
aż mi grzywka spadnie.

Muszę Ci powiedzieć
w wielkiej tajemnicy –
rosnę jak na drożdżach,
brak miejsca w miednicy.

No i jeszcze dodam –
lubię kołysanie.
Lubię wielką wodę
i trochę mniej – spanie.

Jesteś jak okruszek.
Mieszkasz pod mym sercem –
tak mówisz mi co dzień.
To lubię najwięcej.

Halina Wakuluk

Jesień - Barbara Drzemicka-Kardasz

Jesień na Podlasiu - Barbara Drzemicka-Kardasz

Burza rumianków - Elżbieta Simson

Cisza - Elżbieta Simson

A JAK BĘDĘ DUŻA…

A jak już urosnę,
a jak będę duża,
puszczę Twoją rękę,
wskoczę do kałuży.

A w kałuży każdej
ciekawie ogromnie,
świat nogami z góry
przyczepiony do mnie.

Blisko stąd do nieba
i na drzewo każde,
lusterka nie trzeba,
by za okno zajrzeć.

I płynę z chmurami
nad dachem i płotem
i lecę do słońca,
lecz co będzie potem?

Ach! - krok zrobię jeden
tu, na ziemię z chmury,
Ty mi rękę podasz,
nie wpadnę do dziury.

Halina Wakuluk

ŚMIEJĘ SIĘ DO MAMY…

Śmieję się do mamy,
gdy otworzę oczy,
a ona mi mówi,
jak jestem urocza.

Śmieję się do mamy,
gdy mnie skrobie w piętki,
łaskocze za uszkiem
ruchem takim prędkim.
I jak się zamartwia,
gdy boli mnie brzuszek,
chowa w swych ramionach,
mówi – mój okruszek.

Śmieję się do mamy,
gdy ptaszki ćwierkają
na jej obu rękach,
a potem fruwają

na firankę złotą,
gdzie słoneczko tańczy.
Kocham Cię, mamusiu,
dam Ci pomarańczę.

Halina Wakuluk

ŁYSOŃ

Mówią o mnie – łysoń,
bo mam cztery włoski.
Mówią o mnie – łysoń,
ja się czuję bosko.

Łysoń, łysoń taki
i okrągła głowa.
Sterczą tylko uszki,
nosek - do połowy.

Ani warkoczyka,
ani spinki z blaszki.
Kiedy podskakuję,
to słyszę oklaski,

bo te włoski cztery
fruwają jak piórka.
Wiaterek leciutki
robią ze mną w kółko.

Schowam je do czapki
i nie ma łysonia.
Niech dużo podrosną,
będą jak u konia.

Halina Wakuluk

COŚ CI NARYSUJĘ…

Mamuś, moja mamuś,
coś Ci narysuję
na kartce niedużej
i Ci podaruję..

Tu będzie nasz domek
z żółtymi ścianami
i dachem czerwonym
z dwoma kominami.

A przy domku drzewo
i zielone listki.
Schronimy się tutaj
i będzie już wszystko.

I jeszcze ogródek,
a w nim sto stokrotek,
dookoła płotek,
a na płotku kotek.

A na górze niebo
błękitne i słońce
i jeszcze aniołek
na obrazka końcu.

Halina Wakuluk

NIE CHCĘ MRÓWKI

Powiedz mi, mamusiu,
jakie są zwierzęta?
Trochę jestem mała
i ich nie pamiętam.

Są na świecie małpki,
są olbrzymie słonie…
Mamuś, moja mamuś,
ale ja nie o nich.

Lwy, tygrysy, konie -
recytuje mama.
Lwy, tygrysy, konie -
narysuję sama.

Chyba żyją w cyrku,
lecz nie chodzi o nie.
Nie zmieszczę w pokoju
lwa, tygrysa, konia.

Złapię ci motylka
albo biedroneczkę,
złotą rybkę w słoju,
malutką mróweczkę.

Nie chcę mrówki, słonia
ale takie zwierzę,
żeby się przytulić,
biegać na spacerze.

Halina Wakuluk

Powódź

Od dwóch dni niemal bez przerwy padał deszcz. Jakby tego było mało wieczorem rozszalała się burza. Co chwila błyskawice rozświetlały granatowe niebo, a potem rozlegał się potężny grzmot, za każdym razem chyba silniejszy.

Myszka Isia leżała cichutko w swoim łóżeczku. Spod kołderki wystawał tylko jej mały nosek, a i ten chował się głęboko przy każdym uderzeniu pioruna. Isia bardzo bała się burzy i chociaż tuż obok słyszała spokojne oddechy swoich rodziców nie czuła się bezpieczna. Bo przecież kto wie – może te błyski na niebie to sprawka jakiegoś straszliwego czarnoksiężnika, a te pioruny i grzmoty to nic innego jak ryk nadlatującego smoka. Isia jeszcze głębiej schowała się pod kołderkę, ale była już tak zmęczona, że mimo hałasu jej małe oczka same się zamknęły i nie wiadomo kiedy zapadła w sen.

- Isiuniu, wstawaj szybciutko, musimy uciekać! – obudził ją przestraszony głos mamusi.

Myszka zerwała się szybciutko, kiedy tylko postawiła łapki na podłodze poczuła, jakby zanurzyła je w chłodnej wodzie. Z przerażeniem zorientowała się, że cała podłoga w ich mysiej norce zalana jest wodą, której ciągle przybywa.

- Wskakuj mi na plecy! – zarządził tatuś – I trzymaj się bardzo, bardzo mocno!

Mysia rodzinka wyskoczyła ze swej norki, która niczym gąbka chłonęła kolejne porcje wody. Tatuś z Isią na plecach biegł pierwszy przed siebie, za nimi ciężko posapując podążała mama. Ale z każdym krokiem czuli, że woda sięga coraz wyżej, za chwilę zacznie zalewać im pyszczki.

Tatuś zatrzymał się i nerwowo poruszając wąsikami rozglądał się dookoła.

- Wskakujemy na tę gałąź! – zakomenderował pokazując łapką ułamany konar drzewa, który wyglądał solidnie.

Mysia rodzinka nie bez trudu wdrapała się na wskazane miejsce. Tatuś i mamusia chwycili się gałązek, zaciskają łapki jak tylko mogli najmocniej i wtedy potężna fala popchnęła konar przed siebie razem z małymi pasażerami. Isia z całych sił trzymała się tatusiowego futerka, ale woda zalewała jej oczy i nosek, nie mogła oddychać.

Niebo rozdarła kolejna błyskawica, a wraz z grzmotem myszka usłyszała przerażony głos mamy:

- Ratunku! Tonę!

Zaczęła głośno szlochać, ale tatuś natychmiast podjął decyzję:

- Isiu, chwyć mocno gałązkę, a ja skoczę na pomoc mamie. Fala porwała ją i niesie w kierunku rzeki! Nie martw się, za chwilę znów będziemy razem!

I zanim myszka zdążyła cokolwiek powiedzieć i kurczowo ścisnęła gałązkę, taty już nie było. Tylko przetaczające się potoki wody zagłuszały rozpaczliwe krzyki Isi:

- Mamusiu, tatusiu, ja się boję!

A potem wydawało się, że pochłania ją jakaś straszliwa, ciemna czeluść.

Kiedy Isia ocknęła się nie było już śladu burzy. Świtało, przez szare obłoki prześwitywały nieśmiało promienie słońca. Coś połaskotało myszkę w nosek, ale kiedy chciała się podrapać, zorientowała się, że nie może rozprostować paluszków kurczowo zaciśniętych na gałązce. Wtedy dopiero przypomniała sobie, co wydarzyło się ostatniej nocy. Rozejrzała się wokoło – dryfowała samotnie na ułamanym konarze drzewa po ogromnym rozlewisku, a panująca cisza wprawiła ją w niemniejsze przerażenie niż fakt, że wciąż nie ma przy niej rodziców.

Maleńka Isia zapłakała nad swoim smutnym losem. Kto wie, może już jest sierotą?! Czy to możliwe, żeby tatuś i mamusia uratowali się w taką nawałnicę?

Słońce coraz odważniej wynurzało się zza chmur i świat stawał się bardziej przyjazny. Powoli nad wodą zaczęły pojawiać się jakieś owady, gdzieś z oddali rozległ się skrzek sroki.

Isia wciąż bardzo mocno trzymając się gałęzi, która uratowała jej życie płynęła przed siebie i nie wiedziała, co ją jeszcze czeka. Mijała kępy wysokiej niegdyś trawy niemal całkowicie zanurzone w wodzie, przewrócone drzewa, na których siedziały skulone zwierzęta ocalałe w nawałnicy. Myszka z nadzieją pomyślała o swoich rodzicach i zaczęła nawoływać:

- Mamo, tato, gdzie jesteście?

Ale nikt jej nie odpowiedział.

Isia nie wiedziała, jak długo dryfowała niczym samotny okręt, zanim konar uderzył w kamień, a myszka z rozpędem przekoziołkowała na suchą już trawę.

- Ojojoj… - zdążyła tylko pisnąć i rozłożyła się jak długa.

- Hmm, zobacz Bobek, myszka – usłyszała nad głową czyjś zatroskany głos.

- No, masz rację Bobik, biedna, mała myszka – potwierdził drugi głos.

Isia uniosła główkę i zobaczyła dwa bobry, które pochylały się nad nią z zaciekawieniem. I wtedy myszka nie wytrzymała, zaszlochała żałośnie:

- Ja chcę do mamy i do taty!

Jeden z bobrów podniósł Isię i delikatnie otrzepał resztki trawy z jej futerka.

- Nie płacz maleńka. Nie wiemy, gdzie są twoi rodzice, ale wszystkie zwierzęta, którym udało się uratować gromadzą się na poziomkowej polanie. Pójdziemy tam razem i zastanowimy się, co dalej.

Bóbr wziął myszkę na barana i pomaszerowali w kierunku lasu. Tam woda nie dotarła, przynajmniej nie tak, jak na łąkę. Mijali wprawdzie ogromne kałuże, ale bez trudu dotarli do poziomkowej polany – miejsca, które znały wszystkie okoliczne zwierzęta. Isia z zaciekawieniem przyglądała się zebranym już tam zwierzętom. Były krety i chomiki, zajączki i wiewiórki, był nawet bocian. Wszyscy z radością powitali nadchodzące bobry, ale nagle myszka usłyszała radosny krzyk:

- Nasza Isiunia!

I zanim zorientowała się o co chodzi, utonęła w ramionach swoich rodziców, którzy ściskali ją, płacząc i śmiejąc się na przemian.

- No proszę – westchnął Bobek, ocierając łzy wzruszenia – Myszka odnalazła mamę i tatę! Wspaniale!

Ale to nie było jedyne takie spotkanie. Inne zwierzęta także odnajdywały swoich krewnych i znajomych i radości nie było końca. Ale nie wszyscy odnaleźli tych, których szukali, wiele zwierząt zaginęło owej tragicznej nocy i nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

Kiedy już emocje trochę opadły zwierzęta zaczęły zastanawiać się, co dalej.

- Cała łąka jest pod wodą – orzekły bobry – Minie kilka dni, zanim będzie można tam przejść suchą łapką.

- Nasze domki zostały zniszczone, nie mamy dokąd wracać – westchnęła cicho mama Isi.

Zapadła cisza

- Zamieszkajcie w naszych norkach, dopóki nie macie się gdzie podziać – rozległ się nagle nieśmiały głosik zajączka – Kiedy woda opadnie zdecydujecie co dalej.

- Zbudujemy tamę, żeby woda więcej nie wdarła się na łąkę! – obiecały bobry.

- Oczyścimy łąkę z gałęzi naniesionych przez wodę! – dołączyły bociany.

- Zbudujemy nowe norki, jeszcze piękniejsze niż poprzednie! – rozkrzyczały się chomiki i krety.

Kiedy słońce chowało się za chmurami w lesie wciąż wrzało, jak w ulu. Każdy planował, co może zrobić, aby pomóc sobie i innym. W małych zwierzęcych serduszkach znowu zagościła nadzieja. W końcu jutro będzie nowy, lepszy dzień…

Elżbieta Janikowska

Stracholubek

Małgosia bardzo lubiła gimnastykę. Uwielbiała zabawy ze śpiewem, rzuty woreczkami do kosza czy czworakowanie. Nie mogła się doczekać lekcji wychowania fizycznego, to były jej ulubione zajęcia.

Pewnego dnia pani przyniosła na lekcje dwa drewniane płotki.

- Niedługo będą zawody. – powiedziała – Jedną z konkurencji będzie skok przez płotek. Musimy solidnie się przygotować.

Wszyscy bardzo się ucieszyli. Najgłośniej krzyczeli chłopcy:

- Super! Pokonamy wszystkich! Płotki to dla nas pestka!

I zaczęły się skoki przez płotki. Krzyś przeskoczył jak prawdziwy sportowiec, Marta trochę zaczepiła jedną nóżką, ale jakoś sobie poradziła, później skakał Maciek – on również nie miał kłopotu z pokonaniem płotka.

Wreszcie przyszła kolej na Małgosię. Dziewczynka zaczęła biec przed siebie w kierunku przeszkody i już, już miała podnieść wysoko w górę nóżkę, żeby przeskoczyć, kiedy nagle wydało się jej, że przed nią stoi nie drewniany płotek, lecz wielka, stroma góra. W żaden sposób nie uda się jej pokonać. Małgosia gwałtownie zwolniła, ale było już za późno, wpadła z impetem na stojącą przeszkodę, płotek przewrócił się, a dziewczynka razem z nim.

- Cha, cha, cha ! – rozległy się śmiechy – Ale łamaga! Takiego niskiego płotka nie potrafi przeskoczyć!

Małgosia leżała na podłodze i chociaż za bardzo się nie potłukła z jej oczu popłynęły łzy. Było jej wstyd, że dzieci śmieją się z niej, że wszyscy jakoś sobie poradzili, a ona wyłożyła się jak długa na podłogę.

- Co się stało?! – podbiegła do niej przerażona pani – Boli cię coś?

- Taaakkk… - skłamała dziewczynka – Chyba skręciłam nogę…

Ola i Madzia pomogły Małgosi dojść do pokoju pani pielęgniarki. Dziewczynka ciągnęła nogę za sobą, jakby rzeczywiście bardzo ja bolała.

Pani pielęgniarka pokręciła głową:

- Aż tak cię boli? Może zadzwonimy po pogotowie…

- Nie! - przestraszyła Małgosia – Już prawie nie boli!

Posiedziała trochę z okładem lodu na nodze i kiedy wróciła do klasy było już po lekcji wychowania fizycznego.

Następnego dnia był piątek, a w tym dniu dzieci nie miały w planie gimnastyki, więc Małgosia odetchnęła z ulgą. Już nie czekała na te lekcje z utęsknieniem. Bała się, że pani znowu każe skakać przez płotki.

Ale w poniedziałek dziewczynka musiała stawić czoła kolejnej lekcji wychowania fizycznego.

- Mamo! – poprosiła rano – Napisz mi zwolnienie z wuefu. Trochę boli mnie gardło…

Mama z niepokojem sprawdziła czoło Małgosi, czy przypadkiem nie ma temperatury i nie zaczyna się jakaś angina, ale ponieważ nic na to nie wskazywało, po prostu napisała karteczkę ze zwolnieniem.

Następnego dnia znowu był wuef i znowu Małgosia poprosiła mamę o zwolnienie.

- Chyba po lekcjach przejdziemy się do przychodni. – zdenerwowała się mama – Już drugi dzień boli cię gardło. Może to jakaś infekcja?

- Nie, nie, mamo – krzyknęła Małgosia – To tylko zwykły katar… Nic mi nie będzie…

Na następnej lekcji gimnastyki nie mogła już wykręcić się od ćwiczeń. Na szczęście okazało się, że tym razem będzie aerobic. Małgosia była wniebowzięta. Ćwiczyła tak solidnie i wytrwale, że pani ją pochwaliła i kazała przygotować ćwiczenia przy muzyce na następną gimnastykę. Wszystkie dzieci po lekcji podchodziły do dziewczynki i mówiły:

- Ale ty to masz szczęście! Na następnym wuefie zastąpisz panią!

A Małgosia rosła z dumy i ze szczęścia.

Po lekcjach dziewczynka wybrała się do parku na spacer ze swoim pieskiem – małym kundelkiem Rafikiem. Rafik bardzo lubił obwąchiwać wszystkie zakamarki po drodze, zaglądać w każdy kącik. Małgosia bała się, żeby piesek jej nie uciekł, więc prowadziła go na smyczy. Przechodzili właśnie koło sklepu z zabawkami i na wystawie dziewczynka zobaczyła wspaniały domek dla lalek. Przystanęła przed wystawą, choć Rafik próbował zmusić ją szarpaniem za smycz, aby iść dalej.

- Może poprosiłabym Świętego Mikołaja, żeby przyniósł mi taki domek na gwiazdkę? – pomyślała Małgosia – Jakby to było wspaniale gdyby moje lalki mogły w nim zamieszkać…

W tej chwili Rafik szarpnął mocniej za smycz, wyrwał ją z rąk Małgosi i pobiegł przed siebie.

- Rafik! Wracaj! – krzyknęła przerażona dziewczynka i rzuciła się w pogoń za swym ulubieńcem.

Ale piesek ani myślał się zatrzymać. Biegł przed siebie ile tchu w łapkach, tylko kosmate uszy trzęsły mu się na wszystkie strony. Minął przystanek, kiosk, mostek i skręcił w stronę rzeki. Małgosia biegła za nim, wciąż krzycząc głośno:

- Rafik! Rafik!

Nagle piesek wyskoczył w górę i jednym skokiem pokonał murek, który był na jego drodze. Małgosia nie zastanawiając się ani chwili wyskoczyła w górę, a kiedy była już po drugiej stronie murku szybko chwyciła smycz Rafika. Udało się, piesek był bezpieczny. Dziewczynka odetchnęła z ulgą i otarła dłonią spocone czoło.

Nagle:

- Buuu! Buuuu… - usłyszała za sobą cieniutki głosik.

Odwróciła się i zobaczyła siedzącego na murku małego skrzata. Włoski miał potargane, jakby nigdy w życiu nie używał grzebienia, ubrany był a zielony serdaczek i szerokie spodenki.

- Kim jesteś? – zainteresowała się Małgosia, bo po raz pierwszy w życiu zobaczyła kogoś takiego – I dlaczego płaczesz?

Mały skrzat wytarł rękawem nosek i wybąkał:

- Jestem Stracholubek. Mieszkałem sobie spokojnie za twoim kołnierzem od czasu, kiedy przestraszyłaś się skoku przez plotek…Tak mi tam dobrze było… A dzisiaj, proszę, przeskoczyłaś murek zupełnie bez odrobiny lęku, chociaż jest on dużo wyższy od tego płotka w szkole. Już nie będę mógł mieszkać za twoim kołnierzykiem! Buuuu!

Małgosia popatrzyła na murek i z przerażeniem stwierdziła, że murek rzeczywiście jest o wiele wyższy od płotka, a ona przed chwilą przeskoczyła go, jakby był niewielkim progiem. I nawet się ani trochę nie bała. Kiedy po raz kolejny spojrzała na murek zauważyła, że zniknął też Stracholubek, tak jak jej lęk przed skokami.

Na następnej lekcji gimnastyki Małgosia sama poprosiła panią o skoki przez płotki. Pani wprawdzie trochę się zdziwiła, ale pozwoliła ustawić płotki. Małgosia wzięła rozbieg i ruszyła w stronę przeszkody. Kiedy była już bardzo blisko jej serduszko znowu ścisnęło jakieś dziwne uczucie i miała wrażenie, że znowu się boi. I wtedy wydało się jej, że widzi za płotkiem uciekającego Rafika, że słyszy jego głośne ujadanie. Zamknęła oczy, podskoczyła i… Była po drugiej stronie płotka!

- Brawo! – krzyknęła pani, klaszcząc w dłonie.

- Brawo! – krzyczały dzieci.

A Małgosia miała wrażenie, że przez moment widzi rozczochranego Stracholubka, jak zmyka pomiędzy płotkami gdzie pieprz rośnie.

Elżbieta Janikowska

Bajka o wiewióreczce Rózi

Wiewióreczka Rózia miała najpiękniejszy ogonek w całym lesie. Nikt nie miał co do tego wątpliwości. Kiedy przeskakiwała z gałęzi na gałąź, jej rudy, puszysty ogonek zdawał się płynąć za nią, dodając szyku i elegancji.

- Jaki masz wspaniały ogonek! – zachwycały się żabki, z zazdrością przyglądając się wiewiórce.

- Istne dzieło sztuki! – kiwał głową dzięcioł rytmicznie pukając w korę drzewa – Znam się trochę na tym…

- Gdybym miał taki ogonek, byłbym najszczęśliwszym stworzeniem na świecie – sapał jeżyk, trącając noskiem stertę zeschłych liści.

A Rózia świadoma skarbu, jaki posiada z dumą prezentowała go jak tylko mogła i z radością wsłuchiwała się w płynące zewsząd wyrazy zachwytu.

Wiewióreczka słynęła nie tylko z pięknego ogonka. Co roku w lesie odbywał się konkurs zbierania orzeszków i Rózia nie dawała innym wiewiórkom żadnych szans – zawsze była najlepsza.

Pewnego razu z takim zainteresowaniem przyglądała się sobie w kropli rosy, że nie zauważyła skradającego się tuż za nią wilka. Kto wie, jak skończyłaby się ta przygoda, gdyby nie wilga, która właśnie przelatywała tuż nad Rózią i widząc grożące jej niebezpieczeństwo wrzasnęła ile miała tchu:

- Uciekaj!!!

Rózia wyskoczyła w górę jak oparzona, ale wilczysko zdążyło kłapnąć zębiskami i w jego wielkiej paszczy zniknął cudny, puszysty ogonek. Wiewióreczka oszalała ze strachu i bólu ostatkiem sił wskoczyła na najbliższą gałąź i pomknęła do swojej dziupli.

Tam bolejąc nad swoją strata i lecząc obolałe ciało zaszyła się z dala od świata na długie, długie dni. Zaprzyjaźnione zwierzęta chciały ją odwiedzić, zapytać, w jaki sposób można jej pomóc, ale Rózia nie chciała z nikim rozmawiać, ba, nie chciała nikogo widzieć.

Najlepsza przyjaciółka Rózi – wiewiórka Jadzia codziennie przybiegała do jej dziupli, aby ją pocieszyć. Ale Rózia nawet z nią nie chciała rozmawiać.

- Zostaw mnie w spokoju! – krzyczała, ukryta głęboko, tak, żeby nikt jej nie widział – Idź sobie, nie chcę żeby ktokolwiek mnie oglądał!

Ale Jadzia nie poddawała się i następnego ranka znowu biegła do dziupli swej przyjaciółki.

Któregoś dnia, gdy Rózia po raz kolejny nie chciała jej wpuścić, usiadła na gałęzi i krzyknęła:

- Nie ruszę się stąd, zanim ze mną nie porozmawiasz! Choćbym miała tu siedzieć całe wieki i choćby miały mnie schrupać na kolację najstraszliwsze drapieżniki – nie ruszę się stąd!

Tego Rózia się nie spodziewała. Powoli wysunęła pyszczek z dziupli i bąknęła:

- Proszę, wejdź…

Jadzia nawet nie spodziewała się, w jakim stanie jest jej przyjaciółka. I nie chodziło tu już nawet o utracony ogonek, po którym została tylko blizna. Rózia wyglądała jak półtora nieszczęścia – wychudła, zgarbiła się, z oczu zniknął dawny blask.

- Czy bardzo cię boli? – zapytała z troską Jadzia.

- Nawet nie… - rozpłakała się Rózia – Ale zobacz tylko jak ja wyglądam! Nawet nie przypominam wiewiórki, tylko jakąś mysz albo chomika! Jak ja mam się pokazać na oczy innym zwierzętom?!

Jadzia wzięła się pod boki;

- Co ty wygadujesz? Wyglądasz po prostu jak wiewiórka bez ogonka! Powinnaś cieszyć się, że żyjesz, ten potwór mógł cię schrupać! Miałaś szczęście, a ty zamiast się cieszyć – narzekasz!

- Z czego mam się cieszyć?! – łkała Rózia – Wolałabym już zginąć! Już nigdy nikt nie będzie podziwiał mojego pięknego ogonka!

Jadzia chwyciła Rózię za łapki i popatrzyła jej prosto w oczy:

- Spójrz na siebie – masz takie same zgrabne łapki jak przedtem?

- Mam.. – cicho odparła Rózia.

- I uszka masz takie same, malutkie i sterczące?

- No, tak – przyznała Rózia.

- Twój pyszczek nie zmienił się ani trochę, nadal jest śliczny, może tylko trochę smutny.

- Tak, to prawda – wiewióreczka nie mogła nie przyznać Jadzi racji.

- I nadal jesteś moją najlepszą przyjaciółką! – pokiwała głową Jadzia – Widzisz, nic się nie zmieniło, dalej jesteś ta samą Rózią, możesz robić mnóstwo wspaniałych rzeczy, spotykać się z przyjaciółmi, bawić się i wygłupiać. Ogonek wcale nie jest ci do tego potrzebny!

- Tak – zachlipała znowu Rózia – Tylko kto będzie chciał bawić się z taką nie wiadomo jaką wiewiórką bez ogonka. Może będą się nade litować, albo mnie wyśmieją, ale już nigdy nie będzie tak, jak przedtem!

Jadzia podrapała się w główkę, intensywnie się nad czymś zastanawiając i wreszcie wpadła na pomysł:

- Obiecaj mi – poprosiła – że dzisiaj wieczorem pozwolisz, żebym zabrała cię w pewne miejsce.

- Jakie miejsce, co ty znowu kombinujesz? – pociągnęła noskiem Rózia.

- O nic nie pytaj, tylko zgódź się! To będzie niespodzianka! – tajemniczym głosem stwierdziła Jadzia.

Wieczorem udało się Jadzi wyciągnąć Rózię z dziupli. Nie myślcie sobie, ze to było takie proste. Rózia ciągle nie była pewna, czy powinna opuszczać swoje bezpieczne schronienie, ale ciekawość zwyciężyła. Jednak przeskakując z gałęzi na gałąź wciąż rozglądała się dookoła, czy ktoś przypadkiem jej nie obserwuje.

Jadzia zabrała Rózię na poziomkową polankę w głębi lasu. Jakież było zdumienie Rózi, kiedy okazało się, że właśnie trwa poziomkowe przyjęcie. Na poziomkowych liściach leżały dorodne owoce, a w innych błyszczały krople wieczornej rosy.

- To przyjęcie na twoją cześć! – oznajmiła Jadzia – Wszyscy na ciebie czekają.

Rózia zatrzymała się jak wryta:

- Nie chcę żadnego przyjęcia, chcę zostać sama! – krzyknęła.

Wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku. Wtedy dopiero dostrzegła, że zwierzęta na polanie nie wyglądają zwyczajnie. Była tam żabka, która nie miała tylnej łapki, jeżyk bez kolców, zajączek bez uszu i wiele innych okaleczonych zwierzątek.

- Witaj Róziu! – powitał ją niepozorny, szary ptaszek – Jestem słowikiem, który stracił głos. Nie mogę już śpiewać, ale doskonale latam i najszybciej w całym lesie roznoszę najnowsze wiadomości.

- A ja straciłam swoja tylną łapkę – zarechotała żabka – Ale nie lepszego ode mnie pływaka.

- Może nie wyglądam tak jak inne jeże – skromnie odezwał się jeżyk bez kolców – ale nadal mam doskonały węch i potrafię z daleka wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo.

- Straciłem moje piękne słuchy i niedosłyszę – głośno krzyknął zajączek – lecz jestem doskonałym skoczkiem i potrafię jednym susem przeskoczyć głęboki rów!

Rózia zdumiona przyglądała się zgromadzonym zwierzątkom, słuchała ich opowieści i zrobiło się jej wstyd, ze tak rozczulała się nad swoim utraconym ogonkiem. Wkrótce jednak zupełnie o tym zapomniała i razem z innymi zajadała się soczystymi poziomkami i popijała wieczorna rosą.

Kiedy pyzaty księżyc rozgościł się na dobre na niebie Rózia szepnęła do Jadzi:

- Wracajmy do dziupli! Muszę się dobrze wyspać. Wkrótce coroczny konkurs zbierania orzeszków. Wprawdzie nie mam ogonka, ale zbieranie orzeszków to moja specjalność. Mogę znowu zostać mistrzynią, muszę tylko trochę potrenować.

Jadzia odetchnęła z ulgą:

- Tak, Róziu, musisz się tylko dobrze wyspać…

Elżbieta Janikowska

Bajka o małym żubrze i szczęśliwym miejscu na Ziemi

Słoneczne wakacje powoli dobiegały końca. Anna parę dni wcześniej skończyła 14 lat. Zazwyczaj była uśmiechniętą i pogodną dziewczynką, jednak odkąd usłyszała słowa rodziców: „Cóż…pora wracać do domu", posmutniała i nic nie sprawiało już jej radości. Dziewczynka doskonale rozumiała, że wakacje kiedyś się skończą i trzeba będzie wrócić do domu, ale jej małe serce zdążyło już pokochać zielone łąki, pachnące zioła, słońce w konarach drzew i bociany… " Ach, jakie one są piękne"- westchnęła Anna na wspomnienie tych ptaków. Z zadumy wyrwały ją słowa młodszej siostrzyczki.

- Dlaczego jesteś smutna Aniu? – zmarszczyła czółko mała Zosia.
- Wracamy do domu – chłodno odpowiedziała Anna.
- Dlaczego? – z ust młodszej siostry ponownie padło jej ulubione słowo.
- Pamiętasz bociany? – zapytała Anna.
- Taaak…
- A pamiętasz te śmieszne małe żubry w gęstym lesie? Uciekałaś wtedy jak zając! – uśmiechnęła się Anna .
- Wcale nie! – oburzyła się dziewczynka. – Ja bawiłam się z nimi w berka!
- No dobrze, już dobrze. Niestety, już ich nie zobaczysz – posmutniała siostra.
- Dlaczego? – młodsza siostrzyczka Anny zrobiła smutną minkę.
- Dlatego! – Anna wiedziała, że sprawiła siostrze przykrość odzywając się tymi słowami, ale żal w jej sercu był tak ogromny, że łzy same napływały do oczu. Po chwili jednak, widząc smutną twarz Zosi, powiedziała cicho:
- Och, jaka ty jesteś maleńka… Dlatego, że we Francji nie ma takich wspaniałych żubrów, ani takich pięknych bocianów, a już na pewno nie ma tam takich bobrów jak tu. Wakacje się kończą. Czas wracać do domu.
- Ale ja nie chcę…- mała dziewczynka przytuliła się mocno do siostry.
- Wiem. Ja też nie.
- A mama i tata? – zapytała cichutko Zosia. – Mama mówiła, ze to był kiedyś jej domek.
- Był. Kiedyś. Nie wiem Zosieńko – odpowiedziała zrezygnowana Anna.
- To ja zapytam! – mała dziewczynka biegła już w stronę drzwi.
- Poczekaj! – zatrzymała ją siostra. – Rodzice rozmawiają. Chodź, opowiem ci bajkę.
- O czym? – zaciekawiła się Zosia.
- A o czym byś chciała?
- Opowiedz o małym żubrze! – wykrzyknęła mała dziewczynka.
- Dobrze, opowiem ci o żubrze, bocianach, wilku i paru innych zwierzątkach. Chodź do mnie. Namalujemy najpierw las.

Obie dziewczynki rozłożyły na wielkim drewnianym stole, pamiętającym chyba czasy ich prababci, dużą białą kartkę. Uwielbiały razem malować akwarelami.

- Zacznij malować tło – poleciła Anna. – Ja zacznę opowiadać ci bajkę.

„Było to bardzo, bardzo dawno temu. W pewnym gęstym lesie, wśród wysokich traw i zielonych drzew urodził się mały żubr. Miał śliczne, brązowe futerko, niezgrabne nóżki i śmieszne duże nozdrza. Fukał i parskał wkoło, aż wiewiórki uciekały skacząc z jednego świerku na drugi. Mały żubr rósł i uwielbiał brykać między drzewami. Jego ciemne, brązowe oczy rozglądały się za wszystkim, co tylko się poruszyło. Znał już prawie każdy odgłos puszczy. Spadające na ziemie ciężkie szyszki świerków rozbawiały go najbardziej. Pac! Pac! Jedna za drugą spadały na jego silny kark.

- Hej! – krzyczał wówczas do czubków drzew. – Kto to?!

A wiewiórki śmieszki tylko przeskakiwały w popłochu z gałęzi na gałąź. Mały żubr godzinami błąkał się wśród gęstwiny, szukając przyjaciół. Wieczorami układał się na miękkim mchu i zasypiał. Rankiem, obudzony świergotem leśnych ptaków, brodził po rosie w poszukiwaniu pożywienia. Niestety z dnia na dzień czuł się coraz bardziej nieszczęśliwy.

- Strasznie tu nudno! – omyślał pewnego dnia i oddalił się od stada w poszukiwaniu przygód.

Szedł długo leśnym duktem, aż ujrzał jasna polanę. Zatrzymał się niepewnie i rozejrzał wokół. Wszystko było takie nowe i inne…

Przystanął na skraju lasu i zawołał:

- Halo! Jest tu ktoś?!

- Ku, ku! Ku, ku! – usłyszał w odpowiedzi.

Młody żubr przestraszył się trochę, zanim poznał głos kukułki. Po chwili zapytał jeszcze raz:

- Kto tu jest?

Tym razem w odpowiedzi usłyszał tylko stukanie. Spojrzał w górę i ujrzał pięknego ptaka z czerwoną czapeczką. To był dzięcioł.

- Szukam przyjaciół…- powiedział nieco ciszej żubr. – Nudzę się. Nigdy cię nie widziałem.

- Ja również– usłyszał cichutki głosik za swoimi plecami.

Żubr popatrzył raz jeszcze w górę, ale dzięcioł dalej stukał w pień drzewa.

- Gdzie jesteś? – zapytało zaniepokojone zwierzę.

- Za tobą…. – odpowiedział niepewnie głos.

Żubr odwrócił się do tyłu i ujrzał w wysokiej trawie trzęsącego się szarego zajączka.

- Kim jesteś? – Zapytał zdziwiony.

- Jestem Szaraczek. Taki tam, mały zajączek…. – odpowiedział niepewnie zając.

- Ale masz za to piękne, ogromne uszy! – Zachwycił się żubr.

- Naprawdę?! – Uszy zajączka wyprostowały się nagle, ukazując całą swą wielkość.

- Piękne! – Mruknął z zachwytu żubr.

- Ty za to jesteś taki duży i potężny. – Powiedział Szaraczek. – Co tu robisz?

- Tak sobie wędruję. Wędruję i szukam.

Zajączek, czując się bezpieczniej, podszedł bliżej i zapytał:

- Kogo szukasz?

- Przyjaciół – odpowiedział żubr i po chwili dodał – i miejsca. Innego miejsca. Ładniejszego.

- Ładniejszego niż co? – zdziwił się zajączek.

Ogromne zwierzę odwróciło się w kierunku, z którego przybyło, spojrzało daleko w las, jakby chciało coś dojrzeć, a potem powiedziało głośno i stanowczo:

- Ładniejszego niż gęsty las.

Zajączek wiedział jak wygląda gęsty las. Szaraczek wiele podróżował. Przeżył też wiele przygód. Spojrzał więc na nowego przyjaciela i powiedział wskazując łapką na łąkę:

- Tu jest ładnie. To jest mój dom– powiedział z dumą zajączek.

Żubr rozejrzał się dookoła. Jego nowy przyjaciel miał rację. Wokół rzeczywiście było pięknie. Słońce ogrzewało trawy i kwiaty, a ich zapach był tak przyjemny , że żubr na chwilę przymknął oczy. Kiedy tak stał z zamkniętymi oczyma, wsłuchując się w brzęczenie pszczół, much i innych owadów, nagle na czubku jego nosa usiadł bajecznie kolorowy motyl. Potężne zwierzę powoli otworzyło jedno oko, nie chcąc przestraszyć swojego nowego znajomego. Motyl wdzięcznie zatrzepotał skrzydełkami i odleciał w kierunku polnych kwiatów. Wówczas odezwał się zajączek:

- Znam jeszcze inne piękne miejsca. Chcesz, to ci je pokażę– zaproponował.

- Bardzo się cieszę, że cie spotkałem! – wykrzyknął uradowany żubr. – Chodźmy.

Poszli wiec razem przez łąkę. Wokół pachniały zioła i trawy. Pszczółki bzyczały tak głośno, że żubr nie słyszał nawet własnego pochrapywania. Słońce świeciło jasno, a po niebie lekko przesuwały się białe obłoczki.

- Co to? – zapytał nagle żubr, wskazując na niebo.

- To bociany! – odpowiedział mu przyjaciel.

- Piękne! – zachwycał się żubr.

Bociany majestatycznie krążyły po niebie. Żubr długo im się przyglądał. Nigdy przedtem nie widział tych ptaków. Patrząc tak w górę, zapytał zajączka:

- Gdzie jest ich dom?

- Daleko. Za lasem – odpowiedział Szaraczek.

- Chodźmy tam!

Żubr jak najszybciej pragnął zobaczyć miejsce, w którym mieszkają bociany.

Las, przez który szli, nie był już tak gęsty. Słońce swobodnie przedzierało się przez wysokie sosny rozświetlając leśne kwiaty, a delikatny wiatr zapraszał je do tańca. Wspaniałe, słodkie owoce malin i jeżyn zapachem zapraszały na poczęstunek. Żubr i zając zatrzymali się na mały odpoczynek tuż przy strumieniu, płynącym szybko wśród drobnych kamieni.

- Tu jest naprawdę ładnie, ale… - zamruczał cichutko żubr.

- Ale, co? – zaciekawił się zajączek.

- Eee, nic… Tak tylko pomyślałem… - żubr sam nie wiedział, jak ma wyrazić to, co czuje.

- Czy w twoim domu nie jest ładnie? – zapytał niepewnie Szaraczek.

Żubr przystanął pod wielką, smukłą sosną. Słońce sprawiało, że jego czarne oczy błyszczały niczym kamienie w strumieniu. Wsłuchując się w odgłosy lasu, żubr nagle odwrócił się w stronę polany, którą już dawno minęli i powiedział do zająca:

- Mój dom jest już daleko. Ale wiesz zajączku, chyba zaczynam tęsknić za tamtym gęstym lasem…

Przyjaciele szli jeszcze dość długo przez pola i łąki. Wokół pachniało dawno skoszoną trawą i zbożem. Na niebie raz po raz ukazywały się bociany. Latały z szeroko rozpostartymi skrzydłami zataczając koła nad dachami pojawiających się w oddali domów.

- Dalej nie idziemy – powiedział zajączek zatrzymując się nagle. – Tu jest miejsce, gdzie mieszkają bociany.

- Ale tu nie ma drzew! – zauważył żubr.

- Trochę jest... – odpowiedział cicho Szaraczek. – Za to są pola, łąki i ludzie. Oni lubią bociany.

- Ludzie? Co to jest? – dopytywał się żubr.

- Lepiej stąd chodźmy. Opowiem ci o ludziach w drodze powrotnej– zajączek skulił się mocniej w trawie.

Żubr zmarszczył czoło i robiąc bardzo niezadowoloną minę, powiedział głośno:

- Ale ja nie chcę wracać!

Po chwili jednak dodał:

- Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Dobrze – odpowiedział mu przyjaciel. – Pójdziemy więc dalej, ale ominiemy domy ludzi. Lepiej, żebyśmy ich nie spotkali. Oni nas lubią, ale nie wtedy, gdy wchodzimy do ich „domu”.

Zajączek pokicał długimi susami przodem, a tuż za nim dumnie kroczył żubr. Ogromne zwierzę ciężko stąpało po ziemi, spoglądając co chwila na boki. Jego sierść połyskiwała w słońcu sprawiając, że wydawał się jeszcze bardziej potężny. Po dość długiej chwili ciszy żubr odezwał się grubym, ale ciepłym głosem:

- Jesteś naprawdę dobrym przyjacielem. Idziesz tak ze mną i nic nie mówisz. O nic nie pytasz.

- A czy chcesz mi coś powiedzieć? – zajączek zatrzymał się.

Żubr smutno spuścił swój wielki łeb. Westchnął głośno i skubiąc kawałek trawy odpowiedział:

- Wcale nie jest smaczna. Poza tym … tęsknię za domem.

- Wiem– zajączek o nic już nie pytał, tylko rzekł:

- Chodźmy, przedstawię cię komuś.

Wkrótce zwierzęta doszły na skraj lasu. Wtedy zajączek zapowiedział swojego następnego znajomego.

- Tutaj jest dom wilka.

- Wilka? – zdumiał się żubr. – Ale ty przecież…to znaczy… - jąkał się żubr. – Zając i wilk, to raczej nie jest możliwe, żebyście…

- Żebyśmy się przyjaźnili? – dokończył za przyjaciela Szarak. – Wiem, wiem. Może to ci się wydawać dziwne, ale my naprawdę się lubimy. Kiedyś – opowiadał zając – dawno temu wilk wpadł w potrzask. Bardzo cierpiał. Ja byłem w pobliżu i sam rozumiesz… przecież nie mogłem mu nie pomóc. Od tej pory po prostu się lubimy.

Gdy zając skończył opowiadać, wyszedł im na spotkanie wilk. Miał piękne srebrnoszare futro i błękitne oczy. Stał dumnie na środku drogi i niepewnie patrzył na żubra. Wówczas odezwał się zając.

- Witaj wilku. To jest mój znajomy. Żubr. Szuka przyjaciół i swojego miejsca w lesie.

Wilk popatrzył chwilę na żubra i rzekł:

- Musisz wracać do puszczy. Tam tylko będziesz szczęśliwy – odwrócił się i odszedł w głąb lasu.

Po tym krótkim spotkaniu żubr powiedział do swojego szarego przyjaciela:

- Wilk chyba ma rację. Widziałem już tak wiele miejsc. Jednak nie jestem szczęśliwszy niż tam, w gęstym zielonym lesie z pięknymi świerkami.

- Zatem wracajmy – zaproponował zajączek, widząc zatroskaną minę przyjaciela.

Szli długo w milczeniu jak dwoje prawdziwych przyjaciół. Wkrótce dotarli na skraj lasu, gdzie spotkali się po raz pierwszy. Żubr i zajączek stali naprzeciw siebie.

- Ku-ku! Ku-ku! – usłyszeli w oddali.

A zaraz potem: „Stuk! Puk!”. Szaraczek odezwał się do przyjaciela:

- Jesteśmy na miejscu. Dalej trafisz sam.

Żubr spojrzał w górę i nagle jedna z szyszek, pac!, spadła prosto na jego nos.

- Tak. Nareszcie jesteśmy w domu.

Zajączek popatrzył żubrowi prosto w oczy i zapytał:

- Odwiedzisz mnie jeszcze?

- Oczywiście! Jesteś przecież moim najlepszym przyjacielem – odpowiedział bez zastanowienia żubr.

- Następnym razem pokażę ci , gdzie mieszkają bobry– ucieszył się zajączek.

- Nie – zaprotestował żubr. – Tym razem to ja zaprowadzę cię do ich domu. Mieszkają niedaleko mnie. Są bardzo pracowite i budują piękne żeremia, takie tamy. Za parę dni przyjdę po ciebie. Do zobaczenia!

- Do zobaczenia! – odpowiedział zajączek i pokicał przez łąkę do swojej norki.

Kolorowe motyle i ważki wesoło latały nad jego głową.”

Anna skończyła opowiadać bajkę. Rysunek obu dziewczynek był gotowy. Zosia właśnie malowała ostatnią plamkę na skrzydle motylka, gdy do pokoju weszła mama. Usiadła obok córek, spojrzała na obrazek i powiedziała:

- Piękny. Żubr i zając wyglądają jak żywe, a kwiaty są tak kolorowe, że prawie czuję ich zapach. Dokąd idą te zwierzęta?

- Nigdzie mamo. Zostają. To ich dom – wyjaśniła Zosia.

- Taak… - zamyśliła się mama.

- Mamo? – Anna przytuliła się do swojej mamy i wyszeptała – czy my musimy stad już wyjeżdżać? Czy nie możemy tu zostać. Jeszcze nie wyjechaliśmy, a ja już tęsknię za tym lasem.

- Jak żubr... – dodała mała Zosia.

- Jaki żubr? – zdziwiła się mama.

- Nasz żubr mamo! – zawołała Zosia i zrobiła bardzo smutną minkę.

– Musimy wyjeżdżać?

- Nie- uśmiechnęła się mama.

– Tu jest nasze miejsce. Tu jest nasz dom. Na zawsze.

Anna i Zosia wybiegły z domu w okrzykach radości. Pobiegły prosto na łąkę, gdzie wśród motyli odtańczyły taniec szczęścia. A z za gęstych drzew spokojnie spoglądało na nich dostojne, piękne zwierzę.

Monika Joanna Litwin

Anioł - Jolanta Nieborak

Bezsenność - Jolanta Nieborak

Joanna Buńkowska

Joanna Dybowska

NIKOLA

Czwartek

To było lato. Niezwykle ciepłe, nie, wręcz gorące, tropikalne i słoneczne, te z tych, kiedy deszcz pada jedynie podczas gwałtownej burzy: szybko, obficie i energetycznie, a po chwili jest już po wszystkim i znów uderza upał. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zamiast siedzieć do końca urlopu w ciepłych krajach, wyruszyć samotnie na rowerową wycieczkę po nieokiełznanej wiejskiej okolicy. Wycieczkę, bo przecież nie podróż: na dwóch kółkach, z plecakiem, bez eleganckich ciuchów, makijażu, włosów na kant i z namiotem dyndającym jak ogonek z bagażnika. Oczywiście też bez laptopa, komórki i zbędnych formalności.

Kiedy opuszczałam zatłoczone, wypełnione spalinami miasto, pozbawione roślinności niczym minimalistyczny dom, panował skwar jak na patelni w smażalni frytek. Mimo iż zabudowania szybko się na mojej trasie skończyły, a ja mogłam już jechać bez spoglądania na to, którędy prowadzi ścieżka rowerowa, na łąkach panował podobnie afrykański klimat. Drzewa oddalone od drogi nie sięgały swoim cieniem aż tutaj, tak więc zdana byłam jedynie na swój kapelusz z dużym rondem, falujący niebezpiecznie na wietrze jakby i on, podobnie jak ja, chciał odlecieć w przestworza. Piasek suchy jak na plaży w Ustce a nie na podlaskim ugorze, wdzierając się pod koła, sprawiał, że rower zachowywał się nieprzewidywalnie. Zmiana przerzutek nie pomagała. Ciągle grzęzłam, zmuszona do pieszej wędrówki w miejscach najbardziej głębokich. Zupełnie jak wędrówka po wydmach.

Nieźle zaczynała się ta moja wycieczka, no nieźle. Z drugiej jednak strony cieszyłam się, że to nie bagno, bo wtedy to utknęłabym tu na wieki, samotna, zapomniana i kot nawet by po mnie nie zapłakał. Po jakimś czasie tej morderczej walki ze sproszkowanym kamieniem zauważyłam, że droga dalej wysypana jest delikatnym żwirkiem. Spróbowałam podjechać kawałek. Udało się, więc nie bacząc na nic, rozpędziłam się ile sił w nogach pod najbliższą górkę, a z niej spuściłam się równie szybko... Wiatr szarpał mi włosy, buchając w twarz gorącym parnym powietrzem, uniosłam nogi na boki, pozwalając, by pedały obracały się bez mojej pomocy… aż tu nagle... coś poruszyło się samym środku drogi , wystając zza traw.

- Jeju!- zdążyłam krzyknąć i automatycznie skręciłam kierownicę, naciskając hamulce.

Mało brakowało, a przejechałabym to coś. Skończyło się na szczęście i dla tego czegoś i dla mnie bez wypadku, ale wylądowałam w wysokich jak pampasy trawach. Wszystkie moje rzeczy zrobiły prześliczny lot nad moją głową i wylądowały obok. W suchym rowie nieopodal siedział, a raczej dziwnie spoczywał przygarbiony chłopczyk, wyciągając szyję z kudłatą brązową głową niczym afrykańska żyrafa w poprzek drogi. Nic, a nic nie przejął się tym, że przed chwilą mogłam go stratować. Wręcz przeciwnie, chyba mnie nawet nie zauważył. Pochłaniało go coś bez reszty. Na oko miał osiem albo dziewięć lat.

- Niebezpiecznie jest bawić się na drodze- stwierdziłam, trzęsąc się jeszcze ze zdenerwowania. Oczami wyobraźni widziałam już jak malca odwozi karetka, a jego głowa wisi na noszach cała zakrwawiona. Za dużo filmów.
- Nie bawię się. Obserwuję –odparł poważnie chłopiec, nie spuszczając z czegoś wzroku i próbując uświadomić mi, że obserwacja to coś poważniejszego niż stwarzanie zagrożenia na drodze.

Powinnam sprać małolata. Takie są skutki braku szkoły w wakacje. Dzieci się szwędają, gdzie nie powinny i powodują wypadki.

Podniosłam się, otrzepałam, stwierdziłam, że rany do wesela się zagoją i już miałam sprawdzić, czy rower nadaje się jeszcze do użytku i dalszej jazdy, kiedy malec skierował na mnie swoje oczy w kolorze mlecznej czekolady.

- Chce go pani zobaczyć?

Jakiego znowu „go”? A może wyleci na mnie zaraz z rowu cała banda podobnych smarkaczy, okradnie i szukaj wiatru w polu i to w dosłownym znaczeniu. Albo i mnie szukaj w tych pampasach na przepastnych hektarach...

- Spieszę się- burknęłam, pospiesznie zbierając rozsypane przedmioty i czyszcząc się z pajęczyn, które rozpuszczone między trawami oblepiły mnie nieprzyjemnie.
- Ciekawe, czy on też- pyzaty wrócił do obiektu swojej obserwacji.

Jak ostatnia idiotka usiadłam w rowie obok chłopczyka, podążającego lekko zezowatym wzrokiem za czymś co kryło się za trawami. A tam, na drodze, po piachu przesuwał się powoli wielki jak piątak, rozciągnięty i wysuszony winniczek oblepiony piaskiem. Zdębiałam. Te dzisiejsze dzieciaki to jakieś nie z tego świata. Żeby nie wiedzieć jak wygląda ślimak?! I czym tu się zachwycać: małe, lepkie świństwo, szkodnik z zagonków sałaty. A może to jakaś lokalna rozrywka jest?

- Ciekawe czy on się spieszy?- powtórzył chłopiec.

Że kto, niby ten bezkręgowiec prawie nieodróżniający się od podłoża? Przecież się nawet mówi: wlec się jak ślimak...

- Każdy stwierdza, że on jest powolny- debatował sam ze sobą mały.- A może on się spieszy, tylko, że na swój sposób?
- Spytaj go- palnęłam.

Ostrość mojego języka zaskakiwała mnie już tyle lat, a ja wciąż nie mogłam się przyzwyczaić. Z drugiej jednak strony mógł mieć rację ten piegowaty filozof. W końcu taki na przykład leniwiec. Wystarczy, że się ruszy, dla niego to jest już gigantyczna szybkość. Może ten ślimak też dokądś pilnie zmierza i liczy się dla niego każda rozwleczona sekunda. Wstałam żeby nie zdurnieć.

- Orchidea- przedstawiłam się, wyciągając rękę w stronę chłopca.
- Nikola- nawet nie zdziwił się moim komicznym imieniem, ale ręki mi nie podał po obejrzeniu, że są całe w piasku.- Czy pani jest takim winniczkiem?- spytał z zaciekawieniem.

Ja, której nic ostatnio w życiu nie dziwiło, zdębiałam już drugi raz tego dnia. To chyba jakieś biedne, niedorozwinięte wiejskie dziecko porzucone na czas prac polowych w tym przydrożnym rowie. Żal mi się zrobiło biedaka. Sięgnęłam bezbożnie po ślimaka, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Zero podobieństwa do mnie, no zero. O co chodziło w pytaniu, czy jestem taka jak on? Może jakaś podpowiedź, koło ratunkowe, telefon do przyjaciela? Chciałam zadowolić dziecinę swoją odpowiedzią. Tymczasem zamiast podpowiedzi, gdzieś w trawach rozkrzyczał się skowronek.

- Bo mówiła Pani, że się spieszy- tłumacząc, przejął lepkiego zwierzaka z moich rąk, przetransportowując go w kierunku, w którym przedtem zmierzał, czyli na drugą stronę żwirówki.
- No a..
- Nie mówi się „no”- pouczył mnie, smarkacz jeden, już ja mu...
- A widziała pani takiego ślimaka, jak chciał przejść przez autostradę?

Ugh. Wyobraziłam sobie bez problemów. Ryzykant z takiego muszlaka. Dom może i ma na karku, ale zupełny brak rozumu. Właściwie to on przecież nie ma karku. Albo te żaby, co się koniecznie pchają przez obwodnicę. A potem tylko pac, pac i legumina pod kołami.

- Zero szans, no nie? – wyprzedził moje myślenie malec, przewracając się na plecy i wpychając sobie do ust mało higieniczną trawę.
- No, ale na takiej drodze, jak ta, radził sobie doskonale- stwierdziłam pocieszająco, siadając obok- No może ja bym na niego wpadła, ale miał sporo szczęścia i swojego anioła stróża.
- To pani jest tym ślimakiem czy nie? Takim co włazi na autostradę i myśli, że jak się będzie strasznie spieszył i będzie cwany, to nic mu się nie stanie i przejdzie na drugą stronę?

Matko, rety! O czym ten dzieciak właściwie gadał? Mój mózg nie mógł tego ogarnąć. Miałam wrażenie, że zacznę parować, a potem kiedy już wystygnę, utłukę tego skowronka, co się mi tak nad głową wydzierał. Nikola chyba za długo leżał na tym słońcu. Ja i ślimak na autostradzie? Mało możliwe. Przecież jestem kobietą sukcesu, już prawie. Tyciu, tyciu brakuje, a będą mnie w ręce całować na salonach i będzie mnie stać na jeszcze więcej rzeczy niż obecnie. Kupię sobie auto, zmienię apartament na większy i nigdy przenigdy nie zajdę do taniego sklepu z konfekcją. Jeszcze tylko trochę gimnastyki w biurze, bycia elastycznym pracownikiem, pracy po godzinach, opuszczonych świąt rodzinnych, pomysłów, które trafią w dziesiątkę szefa i ... Cholera! Jestem ślimakiem. Przejrzał mnie ten mały chytrus! KGB, CBA, a może CIA, czy coś w tym stylu? Jestem ślimakiem! Gorycz uwięzła mi w gardle razem z tym suchym piaskiem, którego tumanów najadłam się po drodze. Perspektywa mięczaka była piramidalnie przerażająca. Przecież wystarczy, że mi tego kredytu bank nie udzieli: plask- legumina.

- Jestem ślimakiem- stwierdziłam z pokorą owcy.- A ty?

- A ja bym chciał nie być-odpowiedział mi bez namysłu.- Fajniej jest na trawie, na łące, iść polną drogą i obserwować. Nie lubię autostrad. I dlatego je przenoszę, te ślimaki.

Tak. Jasne! Marzyciel. A to się chłopaczyna, zdziwi kiedy dorośnie. Każą mu zarabiać, wręcz zapier... tego jak dziki osioł na dwa etaty, żeby tylko wyżywić siebie i rodzinę. Wtedy to mu się odechce ratowania skorupiaków i sam zacznie je naśladować.

- Gdybym podnosiła wszystkie ślimaki, nigdy nie dotarłabym tam, gdzie chcę dotrzeć. Szczególnie po deszczu- zdawało mi się, że wygłaszam niezwykle racjonalny sąd.

Stojąc tak nad dzieciakiem, rzucając na niego cień, na którym moje włosy szarpał bezlitośnie wiatr, myślałam, jaka to ja jestem silna i mądra. Nie to, takie coś, co ledwie od ziemi odrosło i jeszcze świata mało widziało. I co z tego, że gonię za karierą. Każdy za tym goni...

- Ale gdybyś podnosiła wszystkie ślimaki, zobacz, ile życia byś uratowała. Niesienie pomocy jest fajne.

Powaliło mnie. Miałam wrażenie, że ten mój wielki potężny cień skurczył się jak wiórek, a wszystkie okoliczne pochowane po wysokiej trawie ptaki i inne żyjątka mają ze mnie ubaw po pachy. Normalnie jakbym słyszała chichot?!

- Czas na mnie- odwróciłam się, patrząc niby to na zegarek.- Jadę do wsi. Podrzucić cię?

Miałam nadzieję, że powie, że da sobie radę sam i leci w przeciwnym kierunku, ale on tylko kiwnął tym swoim małym, kudłatym łebkiem, w trymiga pozbierał resztę rozsypanych przeze mnie gratów i wgramolił się na mój bagażnik, przerzucając przez plecy torbę z namiotem.
Trochę ważył jak na takiego drobnego chłopca, więc nie tak łatwo był jechać z nim za plecami, szczególnie kiedy machał rękami i nogami zamiast się trzymać. To jednak dawało nadzieję, że zgubi się na zakręcie, byle nie razem z moimi tobołkami.

We wsi miałam wynajęty kawałek ziemi, bynajmniej nie uprawnej, tylko pod namiot, na nocleg. Mały pożegnał mnie szybko i dosłownie jakby zapadł się pod ziemię. To nie był mój problem, więc zabrałam się za rozkładanie namiotu na wyznaczonym przez sędziwego gospodarza kawałku trawy pod stodołą. Jakby nadeszła burza, to miejsce mogłoby okazać się niebezpieczne, ale było już za późno na zmianę planów. Po nocy wracać jak przegrana do miasta? Za nic. Szybko uwinęłam się z rozkładaniem swojego domostwa, chociaż nadal nie opuszczało mnie wrażenie, że jestem ślimakiem. A potem umyłam się pod studnią, opatrzyłam rany powstałe po upadku z roweru i mogłam przespacerować się po okolicy.

Wieś jak wieś. Chata, chata, chata, pole, zagonki, obora, stodoła, czy jak się to tam nazywa i wszystko. Rozciągnięte od drogowskazu z nazwą, aż do kapliczki pod lasem. Dziesięć minut drogi na przełaj. Nie ma co oglądać, gdzie zajść, pustki, tylko cisza i jaskółki bezszelestnie pływające po jakże czystym tu niebie. I jeszcze... mały Nikola pod płotem. Rozsiadł się na ławeczce pod jednym z gospodarstw, balansując po turecku na wąskiej desce. Te ławeczki to jak taka telewizja. Siadasz i oglądasz, co się dzieje we wsi, zupełnie jak serial obyczajowy lub domowa kablówka, a przy okazji poczta pantoflowa. Czyżby mój mały chytrus też był wiejskim plotkarzem? Dosiadłam się. Tym razem twarz miał ustawioną w pozycji w górę,

nie w przód. Jego szyja wyciągała się znów jak u żyrafy. Jak ja przed chwilą, podziwiał jaskółki.

- Chciałbym nauczyć się latać- powiedział nie wiadomo czy do mnie, czy w eter, a może do samych ptaków.
- Ludzie nie latają- zgasiłam go, ale zmierzył mnie takim spojrzeniem, jakbym była ostatnią sierotą. A nie byłam.
- Samolotem.

A! To trzeba było od razu mówić. Czyżby akurat omawiali w szkole „Pilot i ja".

- Bo teraz to mogę tak tylko mateforycznie- stwierdził z powagą i żalem wyrażonym smutną miną.
- Metaforycznie- poprawiłam jak niegdyś moja pani z polskiego.- To znaczy w marzeniach? -dociekałam.
- Też. Ale tak bardziej ze szczęścia.

Nie zrozumiałam. Niby mówiliśmy w tym samym języku, a jednak. Chyba strasznie dawno byłam dzieckiem. Wpatrywałam się w wiejską drogę, którą nic nie nadjeżdżało. Widocznie ja nie potrafiłam fruwać ze szczęścia. Pytanie, czy ja w ogóle kiedyś byłam naprawdę szczęśliwa? Dawno, dawno temu.

- Ja, jak się bardzo, bardzo mocno naszczęśliwię, to później latam ze szczęścia jak szalony - stwierdził malec.- Jak się mama ma czas ze mną pobawić, albo jak mnie tata zabierze na spacer, albo na sankach i kiedy lepimy bałwana, jak piję kakao, jak jest ognisko...- wyliczał, a ja niedowierzałam.

To dzieciaki nie cieszą się z wypasionych gier komputerowych, lalek z akcesoriami, ton słodyczy i wycieczek do Disneylandu? Niesłychane. A może tu na wsi po prostu nie ma komputerów. I wszystko jasne, wieki ciemne.

- ... latem, kiedy ktoś ma dla mnie czas i teraz na przykład, bo panią spotkałem…

Wzruszyłam się. Ja, miastowa stara wyga, wyssana z uczuć i emocji chciałam uściskać tego malca, żebyśmy pofruwali trochę razem. Ale by ktoś mnie jeszcze oskarżył o pedofilię. Dałam mu lizaka. To co, że nie wolno brać słodyczy od obcych, ode mnie wziął bez wahania. Może mi ufał? Orchidea oswoiła wiejskiego bachorka. Brawo! Z drugiej strony mądre to to było jak na swój wiek. Ciekawe, czy sam to wymyślił, czy kogoś podsłuchał.

Moje refleksje przerwała para staruszków, która z prędkością światła zajęła ławkę kilka metrów od nas. Skrzywiłam się. Nie lubiłam starszych ludzi. U nas w mieście, tzw. mohery potrafiły zrobić wszystko, by dojść do celu. Biły, gryzły, żeby dostać miejsce w autobusie, udawały pokrzywdzonych przez los, narzekając na młodzież, którą bądź, co bądź, miały okazję wychować. Niestety nie skorzystały. W dodatku śmierdziały czasem jak mityczne potwory. Zawsze schodziłam im z drogi, żeby nie dostać w łeb parasolką, by mógł się jeszcze kiedyś przydać (łeb oczywiście, nie parasol). Ci tutejsi nie wyglądali jednak na tych wyjętych z miejskiego krajobrazu, więc odetchnęłam z ulgą. Nikola niecierpliwie usiadł po turecku

i odetkał się, to znaczy skończył swojego lizaka. Szybki był. Patyk schował do kieszeni-ja bym wyrzuciła...

- Zastanawiam się…- zaczął patetycznie ten mój dziewięciolatek- dlaczego ludzie lubią brzydkie piękno?

Spojrzał na mnie jakby szukając zrozumienia, więc potaknęłam głową, nie mając zielonego pojęcia, o co dziecku chodzi. Powiedziałam, że nie mam pojęcia.

- Widziałem w telewizji. Takie białowłose panie z doklejonymi paznokciami i farbą na twarzy, i ubrane jak lafi...
- Nie kończ!- przerwałam mu.- No i co z tymi paniami?
- No, że one są takie niby ładne. A mi się nic, a nic one nie podobają. Lipa. Nie lubię telewizji. Róża to może być ładna, bo ona taka jest. Normalna. Po prostu jest. Rośnie sobie, kwitnie i jest normalna.

Mógłby być z tego Nikoli dobry retoryk i do tego filozof. Chociaż, nie…- tym drugim to on już był z urodzenia.

- Tylko róża?- zagadnęłam z zaciekawieniem, pragnąc podrążyć nieco ciekawy temat, bo i mnie mało interesowały te piękności-wieszaki na kości. Telewizyjne maniaczki trumien do opalania, wody tlenionej i żelowych raciczek. Były okropne.
- Na przykład.. –zastanowił się chłopiec.- Na przykład. No… a...

A więc skończyły mu się dobre pomysły. Cha, cha, cha, teraz to ja go zagięłam. I co? I co? Zaczynałam odzyskiwać honor.

- Na przykład staruszki!

Jego okrzyk wzbił się w powietrze, burząc cichy wiejski porządek. Szczęka mi opadła, przegrałam z kretesem, a raczej z dziewięciolatkiem.

- Staruszki?!- wybełkotałam niczym indyk, co się dowiedział, że go zjedzą.- A co w nich takiego... pięknego, że tak powiem?

Nikoli wcale nie było do śmiechu. Chyba na poważnie uważał staruszków za coś pięknego. Czy ktoś tu nie zleciał na główkę z kombajnu?

- Są prawdziwe. Ich twarze. Jak róże.
- Że pomarszczone ma płatki?- dociekałam.
- Nie. A jak się tak na nie patrzy i patrzy, to się można wszystkiego dowiedzieć.

Dziaduszkowie nieopodal gawędzili o czymś spokojnie. Przyjrzałam się im dokładnie, lustrując każdy najmniejszy szczegół od stóp (odzianych w papucie) do głów tylko tak po cichu, żeby nie wyszło, że szpieguję. Pogodna kupka bruzdek wyżłobionych przez czas jak kaniony w Ameryce. To przed takim czymś pragnęła zwiać połowa świata, wymyślając kremy z kolagenem, botoks i operacje plastyczne. Brr... Starość jest przerażająca.

- Widzisz to?- pociągnął mnie niecierpliwie za rękę Nikola.
- Mają ze sto lat- bąknęłam, nie chcąc się przyznać do swoich strachów wyczytanych ze zmarszczek staruszków.
- Nie, dużo, dużo, dużo, ale nie sto.

- Wywróżyłeś z twarzy? – zaśmiałam się, mrugając zawadiacko.
- Nie. Po prostu wiem. Ale mogę powtórzyć. Pani też może, bo to nie trudne, od razu widać jak ktoś żył, z tej jego twarzy. Ile się uśmiechał, ile gniewał, martwił, myślała albo smucił.. –wyliczał chłopiec, odkładając kolejno palce. Do tego bezustannie kołysał na nogach diabełki.

Fakt. Jak się spotka taką babcię, to czasem jej z oczu patrzy jak z oczu groźnego psa, który tylko czeka, żeby rzucić się na swoją ofiarę. Brwi ściągnięte, mina jak po soku ogórkowym albo cytrynie i wiadomo, że albo zejdziesz z drogi, albo będzie burza. Podobnie widać zmartwienia znaczące się podłużnymi zmarszczkami na czole i ustami wykrzywionymi w podkówkę.

Ta nasza babulka, spoczywająca naprzeciw na ławce, wyglądała na spokojną i dobrotliwą, ale miała mimo pogodnego oblicza w życiu wiele zmartwień. Chciałabym tak wyglądać, kiedy będę stara: żadnych ściągniętych brwi i warg chylących się ku ziemi.

- No właśnie!- Nikola przerwał mi niegrzecznie.- A u tych ludzi w telewizji to nic nie widać. Nawet najgorsze morderce się pięknie uśmiechają. Bez sensu...

Na tym zakończyliśmy rozmowę długim milczeniem. Zostawiłam chłopca na ławce i odeszłam, bo zaczynało się robić ciemno i komary wyszły na żer. Mimo pytań nie chciał dać się odprowadzić do domu.

Kiedy już leżałam w swoim namiocie, zupełnie nie chciało mi się spać. Upał i para wypełniająca powietrze dawały się we znaki, robiąc z mojej muszelki saunę. Myślałam o Nikoli. Skąd się wziął i dlaczego akurat ja musiałam go spotkać na tej łące? To miał być wolny od myślenia czas, a nie rozprawy naukowe nad winniczkiem. Czy wszystkie dzieci są takie refleksyjne? Wiem, że zadają dużo pytań, ale czy wszystkie mają w sobie tyle filozofii? No, ale poszedł już sobie do swojego domu, jutro wyjadę ze wsi i pewnie więcej go już nie spotkam. Mogłam więc spać spokojnie...

<u>Piątek</u>

Przywitał mnie z pytaniem, czy nie chcę świeżego mleka. Prosto od krowy. Bo gospodyni dopiero co wydoiła. Siedział tak sobie naprzeciw mojego przywiązanego do gruszy roweru i wcinał truskawki z jakiejś emaliowanej miski. Mleka nie pijałam. Szkodziło mi tak samo jak widok wścibskich chłopców na głodny żołądek. Na szczęście żadnym śniadaniem nie chciał mnie poczęstować. Za to zaoferował truskawki. Ciekawe, skąd je wziął? Chyba nie ukradł nikomu. W każdym razie posiłek opóźnił nieco naszą konwersację.

- Dziś wyjeżdżam i jadę dalej- stwierdziłam poetycznie, kiedy już uporałam się ze swoimi kanapkami
  i konserwą, która nie chciała się otworzyć. Malec nic, tylko kiwnął głową, dalej się opychając.
- Chyba się na mnie nie pogniewasz, że tak cię tu zostawię w trakcie znajomości i w ogóle- tłumaczyłam się jak durna, ale nie chciałam mu robić przykrości.

Jeszcze sobie pomyśli, że uciekam albo zbuduje jakąś teorię naukową na mój temat. W końcu jeśli to naprawdę dziecko upośledzone, to takie ponoć najłatwiej jest skrzywdzić i będę mieć dożywotnie wyrzuty sumienia. Tak, właśnie ja.

- Tak naprawdę, to w każdej chwili możesz odejść- palnął.- Bo ja nie mogę pani zatrzymać. Nic nie może pani zatrzymać. Nawet kiedy pani leży, to pani droga biegnie. Czas mija i myśli też biegną.

Moja szczęka z wrażenia dreptała gdzieś teraz wśród kur i trawy, a oczy wyleciały z orbit i krążyły w przestrzeni kosmicznej.

- Uczą was tego w szkole na pamięć?- zapytałam z nieukrywaną nadzieją.

Malec zmroził mnie spojrzeniem i dokończył swoje truskawki w milczeniu. Niemożliwe, żeby sam to wymyślił. No.. bo nie! Jak to leciało? Że nic mnie nie może zatrzymać, bo wciąż jestem w drodze? To niby ja sama też się nie mogę zatrzymać? A ta droga, to chyba o życie chodzi, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Muszą ich tego uczyć w szkole. I to w jakiejś nawiedzonej.

- No to w drogę!- przez to wszystko nic innego nie pozostawało mi do powiedzenia.

Miałam wrażenie, że jaskółki latają nad moją głową jak oszalałe, normalnie słyszałam ich drwiący śmiech: taka duża a taka głupia. Już nigdy nie obejrzę tego programu, w którym ludzie dorośli sprawdzają, czy są mądrzejsi od dzieci. Ja nie byłam. Moja samoocena została mocno nadwerężona.

- Ja też już muszę wracać do Sadełkowa- Nikola otrzepał się z suchej trawy oblepiającej jego spodenki i czegoś jeszcze, co przywarło do niego w trakcie szukania owoców w ogrodzie, po czym zaczął się zbierać.

Włożył miskę po truskawkach do torby, której jeszcze wczoraj ze sobą nie miał. Skąd się wzięła?

Sadełkowo. Czy to nie tam czekał na mnie kolejny nocleg? Obejrzałam mapę okolicy, tak, sporo kilometrów stąd. Może zabrać dzieciaka ze sobą, będzie mu ze mną bezpieczniej i szybciej na rowerze. Raz kozie śmierć i właściwie nie tylko kozie.

- Możemy więc jechać razem- zaproponowałam.

Zaczynał mnie ciekawić ten mały piegowaty rozczochraniec. Może pochodził z jakiejś inteligenckiej rodziny, z miasta i czytali mu do poduszki encyklopedię, traktaty filozoficzne i Szekspira. Albo po prostu odkryłam wiejskiego geniusza. Wczoraj byłam na siebie wściekła, że go zauważyłam : byłoby po ślimaku i po dzieciaku, a teraz zaczęłam się zastanawiać, co też jeszcze ciekawego usłyszę z ust młodego filozofa. Tak pewnie wyglądał Sokrates, kiedy był mały albo inny myślicie, na przykład. Diogenes, bo on mieszkał w beczce. Śmiać mi się zachciało na wyobrażenie Nikoli w beczce.

Do wsi postanowiliśmy iść pieszo. Zresztą jazda okazała się niemożliwa: koła zapadały się pod naszym ciężarem i grzęzły w suchutkim piasku. Dawno nie padało. Więc tak sobie szliśmy. Ja pchałam pojazd. Nikola śpiewał piosenkę o pieskach, co szły przez rzeczkę i zbierał kwiatki, te takie podobne do czosnku, ale w miniaturze. Sielanka. Jakby ktoś nas zobaczył,

z pewnością by sobie pomyślał, że to rodzinka na spacerze. Na myśl mu by nie przyszło, że w tym czymś, co teraz wydaje niesklasyfikowane odgłosy podobne łudząco do śpiewu, kryje się mały geniusz. A potem wyskakuje i mówi: „Ha!-Mam was!”. Maskował się doskonale. Powinnam się od niego uczyć jak kryć się ze swoją głupotą.

Po godzinie drogi w skwarze i spiekocie dotarliśmy do skraju lasu, gdzie malec poprosił o postój. Znaleźliśmy świetną do siedzenia zwaloną kłodę pokrytą mchem jakby tapicerką. Tym razem to ja byłam ta pierwsza spostrzegawcza- znalazłam poziomki, całkiem dojrzałe. Przepyszne, palce lizać. W lesie było głośniej niż na łące, gdzie tylko jakiś nawiedzony skowronek ujadał jak seria z automatu w wojennym filmie. Nawet świerszcze nie miały ochoty grać w taki upał. Tu zaś wszystko śpiewało. Głuchy by usłyszał, więc i ja nie miałam z tym problemu. Nikola wyliczał, że to kwili sikorka, to stuka dzięcioł, to kukułka, a to zagajniczek, jeśli w ogóle takie coś istnieje. Normalnie od razu widać, kto się na wsi chował. Ja znałam wrony, jaskółki i bociana, ale bynajmniej nie po śpiewie. Jak tu dobrze było w tym lesie. Dlaczego wycina się tyle drzew, skoro dają taki świetny cień. Po odpoczynku przymierzaliśmy z małym las. Myślałam, że będzie nawijał całą drogę, a on nie. Milczał, słuchał ptaków i podziwiał wielkie jak bubki czarnej porzeczki mrówki idące coraz wzdłuż wysypanej igliwiem i szyszkami dróżki. Utytłał się cały poziomkami i wyglądał przeuroczo. Chyba zacznę lubić dzieci. Sama zaczęłam się przyglądać tym porzeczkom na trakcie, ale chyba tylko po to, żeby im nie wejść w drogę, bo jak się stanie w taką mrówczą bandę, to w ciągu kilku sekund zrobią maraton aż do głowy. Kiedyś stanęłam w mrowisko i wiem, co to znaczy zadrzeć z mrówkami.

Nagle stwierdziłam, że słychać tylko moje kroki i szelest rowerowych kół. Nikoli nie było. Rozejrzałam się ze strachem. Nawet jeśli chciał siusiu, to wypadało powiedzieć, a nie znikać tak niepostrzeżenie. A później będzie, że jakaś miastowa z rowerem zabrała do lasu dziecko i kaput jak ze ślimakiem na autostradzie.

- No chodź!- usłyszałam po chwili zatrzymywania powietrza w płucach z przerażenia, kiedy już miałam ochotę zadzwonić po pomoc.

Zobaczyłam go. Kawałek burej czupryny wyglądał zza jakiegoś rosnącego ze dwa metry od drogi bardzo rozkwitniętego drzewa.

- Gdzie ty łazisz!?- krzyknęłam.- A jak tam jest jakaś dziura albo bagno. Przestraszyłeś mnie!
- Ale chodź, zobacz- nic sobie nie robił z mojego ostrzegania.

Zawróciłam więc.

- No i co?- poza dziwnym bzyczeniem dochodzącym spośród liści nie dostrzegłam nic.
- Nie czujesz?- spytał mnie, robiąc słodkie oczy i zaciągając się powietrzem jak po długo oczekiwanym deszczu.

Racja! Pachniał ten skubany krzak jak garnek delikatnego miodu i moje perfumy, które dostałam w firmie na gwiazdkę.

- Co to jest?

- Lipa. Dlaczego się nie zatrzymałaś, żeby powąchać?

Zuważyłam, że malec raz mówi do mnie na „pani", a raz na „ty".

- Nie zauważyłam go, a szkoda, bo zapach był fenomenalny.

Obsypane drobnymi, żółtymi kwiatuszkami drzewo samo w sobie stanowiło piękny widok. Normalnie bomba. Co on tu robił w centrum iglastego lasu? Ułamałam drobną gałązkę tak, żeby Nikola nie zauważył i wepchnęłam między kartki notesu, który zawsze miałam w kieszeni w pogotowiu. Mały wąchał jak narkoman. Prawie, że płuca wychodziły mu na wierzch. Nie wiedziałam, że tak się można rośliną zachwycać. Jak będzie chciał, to mu kupię buteleczkę olejku o takim zapachu.

- Co to za życie jak się człowiek nie zatrzyma po zapach kwitnącej lipy, jaśminu albo mirabelki- stwierdził nagle, kiedy już dostatecznie się dotlenił i mogliśmy ruszyć w dalszą drogę.

Zadziwiał mnie ten malec, normalnie zadziwiał, ale miał nieco racji. Jak się człowiek bardzo spieszy, to nawet najlepsze włoskie lody nie mają smaku. Ile razy jadłam byle co i byle gdzie, nie zastanawiając się nad smakiem, ale żeby było szybciej.

Niespodziewanie zerwał się wiatr. Czubki drzew nad nami falowały groźnie, zwiastując nadchodzącą nie wiadomo skąd burzę. Gwałtowną i niebezpieczną, szczególnie w lesie. Gdzieś daleko, daleko zagrzmiało.

- O! O!- wykrzyknął radośnie Nikola, wystawiając w górę swoje pyzate oblicze.- Będzie padać! Trzeba się schować.

Mądry pomysł w ustach błyskotliwego dziecka. Geniusz normalnie. Tylko gdzie się schować? Jamy wykopać już nie zdążę. Mam rozstawić namiot i liczyć na cud, że pioruny będą nas omijać? Sam rower to kupa żelastwa, a jeszcze z moim szczęściem rozłożymy się pod najwyższą w lesie sosną. Co robić? Co robić!

Nikola nie wpadł w panikę. On się chyba w ogóle nie umiał denerwować. Nie to, co ja.

- Pójdziemy do leśniczówki- stwierdził ze spokojem i ruszył ledwo widoczną dróżką wijącą się wśród drzew głęboko w las.

Nie miałam zamiaru nigdzie się wybierać. Żadnych nieznanych ścieżek i leśniczówek i małych Kubusiów Puchatków za przewodników, bo skończę jak Czerwony Ka... Zagrzmiało. Tym razem jakby większa lawina kamieni przetoczyła się po niebie. Nikola już ginął mi z oczu między pniami sosen.

- Poczekaj!- zaczęłam go gonić.

Leśniczówka okazała się maleńką drewnianą chatką, opuszczoną, ale na szczęście otwartą. Dach kryty staromodnie gontem musiał pamiętać dawne wieki. Wszystko skrzypiało od podmuchów wiatru i można było tylko mieć nadzieję, że przy gwałtowniejszym podmuchu nie zwali się ta kupa klepek na naszą głowę.

Rower zostawiłam w jakiejś jamie nieopodal, którą malec nazywał lodówką, a sami schowaliśmy się do chatki. Wolałabym chyba odwrotną kolejność. Jednak skryliśmy się w samą porę, bo zaczęło już kropić. Wiatr walił w ściany jak opętany, z ogromną siłą strącając

na dach gałęzie i szyszki, chcąc nas przestraszyć. Udało się mu zresztą. Nikola nie wyczarował świeczek, a ja zostawiłam latarkę przy rowerze, więc zapadła kompletna ciemność.
Siedzieliśmy na podłodze, z dala od okien i ścian wątpliwej trwałości, to znaczy prawie na podłodze, bo to był jakiś siennik przykryty kocem, kto wie, czy nie wypchany myszami. Zastanawiałam się, ile czasu zajmie burzy rozwalanie tego schronienia. Nie miałam za wiele czasu się zastanawiać, bo Nikola zaczął się bać. Więc to nie cyborg jednak. Przylgnął do mnie jednym ramieniem, podciągając nogi aż pod brodę. Co tu zrobić, żeby przekrzyczeć burzę, której oboje boimy się siedząc w tej klekocącej chacie.

- Opowiesz mi coś o sobie?- zaczęłam ni z gruszki, ni z pietruszki, tylko z siennika.
- Coś o sobie?- zastanowił się malec, biorąc jednocześnie z moich rąk ostatniego, trzymanego na czarną, jak ta, godzinę lizaka.
- Chciałbym zostać Indiana Jonesem… Łapać rabusiów, szukać skarbów i chodzić w kapeluszu i rozwiązywać zagadki.

Wiatr ciągle ostrzeliwał nas szyszkami, pioruny rąbały gdzieś niedaleko. Zapewne w mój biedny niewinny rower, tylko dlatego, że był metalowy. Żal mi się go zrobiło.

- Aha- powiedziałam w ciemność, ale chyba zagłuszyły mnie fale deszczu.
- I chciałbym jeździć super szybkim samochodem, ścigać się. Mieć psa, Szarika, takiego jak w filmie i być mądrym, ale tak dużo wiedzieć, a się nie wymądrzać. Mam taką koleżankę, co ciągle wszystko wie. Nudna jest i nic jej nie interesuje. Może dlatego, że właśnie wszystko wie. Nie to, co pani. Pani umie słuchać. Nawet o ślimaku winniczku.

Mały komplementiarz. Czy umiem słuchać? Ja, której japa się nie zamyka przez 24 godziny. Mało prawdopodobne, ale dzięki.

Nikola wrócił do rozpracowywania lizaka, a ja do myślenia, kiedy to burzysko da nam święty spokój, byle nie wieczny. Swoją drogą, to nadal nic konkretnego nie wiedziałam o tym chłopczyku. Poza imieniem, o ile to w ogóle imię, a nie podwórkowa ksywa. W sumie moje imię też pozostawiało wiele do życzenia. Kto nazywa dziecko jak amazońskie pnącze? Ale skąd on się wziął, gdzie mieszkał, czy miał jakąś rodzinę i dlaczego włóczył się tak bez opieki, bez obawy przed obcymi, czyli mną. Ja bym się bała. Pamiętam siebie jako dziecko nieskłonne do ryzyka, a przez to tracące najlepsze w życiu okazje (i to mi zostało do dziś). Chyba, że mnie chciał naciągnąć na kasę. Teraz to nie wiadomo, co się po tych dzieciach spodziewać. Wygląda to to tak niewinnie i sympatycznie, a okazuje się bezwzględnym mordercą. Widziałam takie historie w telewizji. Brrr... Przestraszyłam się własnych myśli. Za dużo filmów oglądam i odwrotnie proporcjonalnie małą mam wiarę ludzi. Ten pyzatek miałby mi zrobić coś złego? Co najwyżej niegroźne i krótkotrwałe pranie mózgu z tym jego myśleniem filozoficznym.

- Babcia mi opowiadała, że w tej chacie…- zaczął, mlaskając-… mieszka świerszcz Cośmimówi.

- Co mieszka?- zamiast udawać, że mam zielone pojęcie, od razu przyznałam się do swojej niewiedzy.

Na serio nigdy o niczym podobnym nie słyszałam. W ogóle to ja tylko wiem o trzech świerszczach: jeden mieszkał za kominem, drugi dręczył Pinokia, a trzeci zaprzyjaźnił się z Reksiem. Nie ma to jak obszerna naukowa wiedza na dany temat.

- O ja! Nie słyszałaś o świerszczu Cośmimówi?- zdziwienie chłopca pogłębiło moją niedolę. Przecież to oczywiste, że powinnam słyszeć! Jego wielkie ciemne oczy świecące w blasku błyskawic mówiły mi: „Jak mogłaś o tym nie słyszeć! A jesteś taka duża!”.
- Nie- odparłam zgodnie z prawdą, przejmując odpowiedzialność za braki w moim wykształceniu.
- To taki świerszcz, co wchodzi ci do ucha, jak się jest małym. I on mówi, co jest dobre, a co złe. I wtedy idziesz sobie i coś ci mówi, że tak trzeba zrobić, albo nie. I jak już sam wiesz, co można, a co nie, to on się wyprowadza.

Biedny owad. To on ma gorzej od Mikołaja, który tylko raz w roku musi obskoczyć wszystkie dzieciaki. Babcia Nikoli miała jednak z drugiej strony fajny pomysł, żeby zobrazować wnuczkowi mechanizm działania sumienia. Muszę to sobie gdzieś zanotować.

- A ty masz go jeszcze w uchu?- spytałam Nikolę, którego powoli zaczynałam widzieć, przejaśniało się.
- Nie. Ja już jestem za duży na to. Sam już wiem, co wolno.
- Skoro tak mówisz.. To może akurat jest gdzieś tutaj i się kryje jak my przed tą wstrętną burzą...
- Nie mów tak!- dzieciak znów przerwał mi kategorycznie, zrywając się na równe nogi.- Do burzy trzeba mieć szacunek. Jak się z niej śmiejesz albo grozisz, to cię poczęstuje takim gradem albo gromem, żeby było wiadomo, kto rządzi.

Mówił tak poważnie, że każdego by przekonał. W gardle aż mi zaschło z oczekiwania na grom, od którego zatrzęsłaby się ziemia. W mieście to rządził tylko człowiek. Znaczy się, wydawało mu się, że rządzi. Pan i władca całego worlda.

- Ok, przepraszam. Przepraszam szanowną ... burzę. Chyba już przechodzi?

I przeszło. Z taką samą szybkością, jak przyszło. Rower nawet przetrwał. Trochę go zalało błotem, więc nie dało się go użyć do jazdy, ale poza tym miał się chyba dobrze. Ze starej leśniczówki prowadziło wiele dróg w różne strony. Nikola wybrał tę z wielkimi jak prehistoryczne paprociami, ale z małą ilością kałuż. On tu rządził bez dwóch zdań. Bez niego biegałabym w gradobicie pod drzewami, wołając rozpaczliwie o pomoc. Musiałam się zdać na piegowatego dziewięciolatka. Szok w trampkach z przytupem o ścianę. Ale poszliśmy. Malec przodował, wybierając mniej grząskie podłoże, żeby łatwiej mi było przeciągać zmaltretowaną kupę żelastwa.

A droga wznosiła się coraz wyżej i wyżej, coraz więcej się na niej pojawiało kamieni i zdradliwych korzeni wystających z podłoża. W dole, wszędzie wokół ściółka tonęła w wodzie. Mech nasiąknął jak gąbka i dałabym głowę, że jakbym tam stanęła, to bym się

zapadła po kolana, a mój towarzysz po pas. Nic więc dziwnego, że wybrał tę wspinaczkę. Musiał znać okolicę.

Pachniało cudownie. Żywicą i świeżością. Jak choinkowy odświeżacz powietrza, za który w okolicy świąt płaci się grubą kasę. A może nawet lepiej pachniało. Chłodno, rześko i przyjemnie. Tylko ja, nieziemsko zielony las i mój prywatny filozof-przewodnik w rozmiarze mini, czyli popularnie mówiąc: pocket size.

Aż tu nagle:

- Wow! Ja nie mogę!- zachwycił się znów czymś Nikola, dyndając niebezpiecznie głową w dół i jedynie jedną łapką trzymają się kruchej i śliskiej kory drzewa rosnącego na zboczu.

Odsunęłam go lekko i też się schyliłam, żeby popatrzeć. W dole rozpościerało się wielgachne, niesamowicie zielone bagnisko pokryte rzęsą wodną. Takiego imponującego jeszcze nie widziałam. Nie miało końca, wykraczając poza najdalsze widoczne pnie drzew, zatapiając je i te zmurszałe, wcześniej powalone przez burzę i wiatr. Wygrzebałam aparat i uwieczniłam to seledynowe zjawisko. Pstryknęłam też fotkę Nikoli, niepostrzeżenie, który pomimo ostrzeżeń nadal niebezpiecznie dyndał nad tym wszystkim.

- Mądre są te drzewa- stwierdził po chwili malec, kiedy już udało mi się go usadzić w bezpiecznej odległości od stoku.
- Dlaczego?- wyciągnęłam zrobione rano kanapki, bo nam obojgu zaczęło grzmieć w brzuchu, a po chwili zapachniało świeżym wiejskim chlebem.
- Bo jak już wpadły to tego bagna, to sobie tak leżą i leżą i nic im się właściwie nie dzieje. Są sobie w tym bagnie, nie rosną, ale nadal są.

Kochane było to jego dziecięce myślenie. W ogóle cały Nikola był kochany, razem z tą pajdą, którą wcinał bez opamiętania, aż trzęsły mu się uszy. Jak można nie polubić tego małego Indiana Jonesa?

- Siedząc w bagnie…- ciągnął-… to nikt normalny się nie wierci, bo wtedy są większe szanse by utonąć, tylko głowę stara się mieć jak najdłużej na wierzchu, no nie?

Na to ostatnie pytanie, skierowane do mnie, miałam nieco odmienne zdanie. Przeżuwając kęs chlebowo-serowy, powiedziałam:

- Wiesz Nikola, dorośli są czasem na tyle głupi, że jak siedzą w bagnie, to się wiercą. Potwornie.
- I co?- zapytał zaciekawiony, z dozą niedowierzania.
- I raczej toną. Zamiast się do kupy pozbierać albo cicho i grzecznie przesiedzieć jak te drzewa chociażby.
- Seryjnie?
- Seryjnie- przytaknęłam, odganiając jednego z tysiąca komarów, które zaczynały robić sobie z nas piknik. Jednocześnie miałam w głowie tyle osób, które przez swoją głupotę i wiercenie się w bagnie, spadły na dno.

W takim tempie to my się nie dowleczemy do Sadełkowa do jutrzejszego ranka- odezwało się racjonalne myślenie. Perspektywa nocowania w lesie sprawiła, że od razu ruszyliśmy w dalszą drogę.

- Idę więc do Sadełkowa, niech cię już nie boli głowa- ułożył wierszyk Nikola i wydobył się ze swojej eleganckiej kupki mchu, na której siedział.

Stąd już niedaleko mieliśmy do skraju lasu i znów zaraz znaleźliśmy się na łąkach. A raczej na fenomenalnym wzgórzu, które łagodnym stokiem spływało na pełną zapachu przestrzeń traw, ziół i kwiatów. I nie wiem, co było bardziej niesamowite: barwy łąki czy chmur przepływających przed nami, zupełnie jakby na wyciągnięcie ręki. Aż się zatrzymałam, kontemplując tę chwilę niczym spotkanie z czymś nieziemskim. Z wrażenia zaparło mi dech. Przez długą chwilę nie wiedziałam nawet, że malec wsparty o komicznie o siodełko roweru, przygląda mi się z szerokoustnym uśmiechem.

- Fajnie, nie?!
- Fajnie... Tym razem też masz mi coś do powiedzenia?
- Nie, przy chmurach milczę- utkwił wzrok w błękit nieba ciągnący się ponad obłokami.
- A ja mam coś do powiedzenia. Moja mama zawsze powtarza, że kto nie umie dostrzec piękna chmur, jest biedakiem.

Chłopiec rozważał to, co mu zakomunikowałam zupełnie tak, jakby próbował nowego orientalnego smaku przypraw albo prędzej batonika.

- Mądre- stwierdził.- Zapamiętam.
- Cieszę się. Chociaż raz to mi udało się coś mądrego powiedzieć, powtórzyć znaczy.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Fajnie Ci. Jesteś więc bogata. Znasz się na chmurach, a one są piękne.
- Jak róże i twarze staruszków- dodałam, śmiejąc się dobrodusznie niczym święty Mikołaj.

Jeszcze jeden dzień z tym malcem i faktycznie zostanę kimś podobnym. Świętą Orchideą, patronką stukniętych dzieci i wiejskich filozofów. Bardzo śmieszne! Ale co ja zrobię, że podziwianie z Nikolą wielokolorowych obłoków to było latanie, o którym wcześniej mówił. Poczułam się lekka i „naszczęśliwiona", mówiąc w jego języku.

Zeszliśmy ze wzgórza na łąkę, a raczej zbiegliśmy z rozpędem, łapiąc wiatr we włosy. Na szczęście nie jestem alergikiem, bo inaczej nie zachwycałabym się wysokimi trawami łaskoczącymi swoimi wiechciami skórę i innymi ziołami, których zapach unosił się po deszczu świeżo i intensywnie. Kiedyś znałam ich nazwy, dziurawiec, chaber, mięta, rumianki... Ile to lat minęło, odkąd uczyła mnie tego babcia, a pamiętałam nadal.

Nieopodal, w dolinie, między lasem a widoczną już stąd wsią stał spokojnie jakiś dom. Pusty, w stanie surowym, ale bez napisu, który głosiłby, że wystawiony jest na sprzedaż. Wyglądał samotnie w tym szczerym polu.

- Piękny dom- zauważyłam głośno, kiedy go mijaliśmy.
- Piękny, nie piękny.

Nikola nie zwrócił głębszej uwagi na budynek, kierując się ledwo widoczną dróżką wydeptaną wśród traw. Widocznie już nie raz go widział i ogrom budynku nie robił na nim wrażenia, a ja byłam ciekawa...

- Nie podoba ci się?- spytałam.

Zatrzymał się, grzebiąc w drodze patykiem, który wziął skądś, gdzieś i nawet nie wiem kiedy, coś tam sobie myślał, co zdradzało skupienie na jego piegowatej pyzatej buzi.

- Dawno, dawno temu…- zaczął niczym opowieść o królewnie- …pewien pan kupił ten kawałek łąki takiej pani, która została jego żoną. Zaczęli budować dom. Miał być ogromny i śliczny. Z garażem, tarasem, balkonami, altaną i ogródkiem i kupą innych bajerów, nawet anteną telewizyjną i bramą na pilot. Tak opowiadali. I z fontanną i basenem. Super fajny dom najlepszy na świecie. Wymarzony. Wyjechali za granicę, żeby na niego zarobić, bo ciągle mieli za mało pieniędzy na ten taras i ogród. A potem się pokłócili i nikt tutaj nie wrócił.

Słuchałam z narastającym smutkiem i czekając na happy end. Czasem ludzie faktycznie chcą zbyt wiele, coraz więcej i więcej, zamiast się skupiać na tym, co mają, dążą do ideałów. Zapewne ich małżeństwo nie wytrzymało, rozpadło się, a budynek stoi teraz i niszczeje na pustkowiu, obrastając mchem i tylko jaskółki zrobiły sobie gniazdo gdzieś pod dachem, bo ciągle stamtąd wylatywały.

- Moim zdaniem nieważne jak wygląda dom, ale kto w nim mieszka- powiedział po chwili refleksji mały, a ja nie mając nic innego do dodania poza kiwnięciem głową, powlokłam się za nim dalej.

W końcu dotarliśmy do naszego Sadełkowa, zmęczeni ale jakże bogaci w doświadczenia. Przynajmniej ja.

W namiocie, otoczona rojem bzyczących i nie dających spać much, wpatrując się w dyndającą u szczytu latarkę, rozmyślałam nad tym wszystkim, na co mi zwrócił uwagę napotkany przypadkiem szkrab. Czym, a raczej kim byłam, dokąd zmierzałam, goniłam. Tyle lat, a ja nie miałam swojego domu, rodziny, psa, a mój świerszcz Cośmimówi już dawno odszedł na emeryturę. Ten dziewięciolatek był stokroć mądrzejszy ode mnie. Aż żal, że za kilka lat wielkomiejskie środowisko, do którego trafi, pozbawi go tej wrażliwości.. A może nie. Może przetrwa, ale na pewno nie będzie miał w życiu łatwo z taką duszą. Może i ja kiedyś byłam podobna, ale gdzieś to wszystko po drodze utraciłam w pośpiechu?

Sobota

Tak jak przypuszczałam, powitał mnie rano oczywiście pytaniem, czy aby na pewno nie chcę mleka prosto od krowy. Nie chciałam. Ale tym razem nie zirytowało mnie to wcale. A może on chciał po prostu opylić to mleko? Słaby ze mnie rynek zbytu.

Stwierdził też, że ma problem.

- Mam problem, pani Orchideo- powiedział, gdy tylko moja głowa wysunęła się z namiotu i odmówiła mleka.

Normalnie dzieci o tej porze śpią. W mieście przynajmniej. Nikola, jeśli w ogóle spał, należał do rannych ptaszków.

Kłopotem okazał się mały szczeniak. Jakiś ktoś chciał go wyrzucić do rzeki, a że dzieciak to zobaczył, zabrał psiaka, a konkretnie wyłowił, ryzykując swoje życie. Byłam przekonana, że w dzisiejszych czasach ludzie wiedzą o istnieniu schronisk, ale widocznie jestem zacofana. Nakarmiliśmy psiaka mlekiem i rozważaliśmy, co też z nim teraz zrobić. Dzięki temu dowiedziałam się, że chłopiec tylko na wakacje przyjechał do Sadełkowa, a tak, to mieszka w miejskim bloku i dla Kuleczki tam miejsca nie będzie. Piesek faktycznie wyglądał jak kuleczka: był tak samo długi, jak szeroki i wysoki. Łapki miał masywne, co oznaczało, że w przyszłości osiągnie rozmiary dość spore. Co by powiedzieli moi znajomi, gdybym wróciła z urlopu z Kuleczką? W apartamencie miałby gdzie hasać, a wieczorem spacerowalibyśmy po pobliskim parku... Stop! Ja i pies o imieniu Kuleczka, to niedorzeczne!

Nikola bawił psa kawałkiem sznurka z zawiązaną na końcu gazetą, rechocząc przy tym niczym mały diabełek. A ja myślałam, co by tu zrobić. Zabrać szczeniaka do miasta i oddać do schroniska? Jeszcze przedwczoraj zrobiłabym to bez mrugnięcia okiem, ale teraz coś mi w gardle uwięzło na samą myśl. Dawno nieodczuwana kuleczka żalu, goryczy, strachu i czegoś tam jeszcze. I nie była to bynajmniej zgaga po poziomkach!

- W sumie to mogłabym go zatrzymać. Mam duże mieszkanie...- nie skończyłam mówić, a już szczenię znalazło się w moich ramionach, wepchnięte tam przez wdzięcznego chłopaka. Dobrze, że tylko jeden z nich polizał mnie z wdzięczności.

Kiedy już sprawa psa została definitywnie rozpatrzona i stałam się (nie wiem czy szczęśliwą) posiadaczką Kuleczki, Nikola postanowił zabrać mnie dokądś.

- Ale weź- przekonywał mnie.- To jest coś pięknego! Rewelacja! Na pewno ci się spodoba!

Na wszelkie próby dowiedzenia się, co też to takiego ma być, odpowiadał, że tajemnica. W końcu i tak miałam zwiedzić Sadełkowo, o ile wieś można zwiedzać, więc zgodziłam się na słodkie oczy malca i mojego nowego zwierzaka.

Czasem jest tak, że wieś, to zaledwie kilka, kilkanaście chat z zabudowaniami gospodarczymi na krzyż, ustawionymi gdzieś na polu nie wiadomo po co i przez kogo i z daleka od reszty świata, niczym te ludy niepiśmienne. Sadełkowo miało podobny klimat. Remiza, własny sklep, a nawet mały zabytkowy kościół, który właśnie minęliśmy, kierując się na jego tyły.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Po przekroczeniu bramki w sporej wysokości kamiennym murze, zobaczyłam pole kwiatów, dosłownie pole, poprzedzielane alejkami wysypanymi kamyczkami. Krzewy, ogromna ich ilość wysypana kwiatami we wszystkich możliwych kolorach. Nikola stał obok mnie dumny niczym zdobywca Mount Everestu i nadęty jak balon, głaszcząc Kuleczkę po obwisłych uszkach. Udało mu się zgadnąć, że będę zachwycona. Każdy z tych kwiatów: i te drobne, i te ogromne, i rozłożyste, i pąki to były najprawdziwsze róże o najróżniejszych odmianach.

- To róża i to róża, i to też róża- wskazywał palcem Nikola.- A każda inna, prawie jak płatki śniegu, o! Albo jak ludzie.

Pachniało cudownie i ten brzęk uwijających się w tym królestwie zmysłów pszczół, motyli, a może nawet elfów...

- Sprawdzałem cały ogród. Nie ma tu ani jednego kwiatka innego, tylko róże, bo wszystkie mają tabliczki. Cały dzień sprawdzałem, aż mnie wieczorem komary pogryzły i dałem sobie spokój- demonstrował mi swoje poświęcenie.

Obejrzałam tę prezentację galerii ukąszeń. Ja bym się tak nie umiała poświęcić, nawet dla tak cudnych roślin.

- Jestem pod wrażeniem. Kto sadzi tutaj te kwiaty? Wymagają masę pracy!
- To zakonnicy. Siedzą sobie w domkach, tych tam, i wychodzą sobie do tych róż albo znowu siedzą sobie w kościele, albo sprzedają te róże w sklepiku w mieście. Nie wiem, czy robią coś jeszcze, ale raczej nie. Śmieszni są.
- Dlaczego? – faktycznie się zaśmiałam.
- Mają taaakie brody i kaptury, i płaszcze przepasane sznurkiem. Chodzą o tak, takie duuże kroki robią i noszą sandały, nawet chyba zimą noszą. Strasznie fajowi!

Uśmiałam się z tego przedstawienia odstawionego przez mojego towarzysza, ale szybko mi przeszło, bo Kuleczka podsikał jeden z krzaków i trzeba było znikać, zanim ktoś by nas przyłapał na gorącym uczynku. Inaczej chętnie zostałabym tam na dłużej, by wsłuchiwać się w szum pszczół uwijających wśród płatków i odurzać intensywnym zapachem. Tak dawno już nikt nie podarował mi róż, a kiedyś tak lubiłam wtulać się w ich płatki...Ależ romantyzm się we mnie włączył!

Znów mijaliśmy kościół. My mijaliśmy, a Kuleczka znaczył terytorium. Dobrze, że jeszcze nie nauczył się dobrze podnosić nóżki, mogliśmy dzięki temu udawać, że to nie on.

- Wierzysz w Boga?- zapytał nieoczekiwanie Nikola, sprowadzając mnie ze spraw ziemskich na temat nieba.
- Yhy- odparłam jakoś tak bez głębszego przekonania.- Wierzę.
- To fajnie. Ja tam myślę, że dobrze jest mieć takiego Przyjaciela.
- Przyjaciela?- zdziwiłam się, czy mnie uszy nie mylą.
- Takiego przyjaciela na dobre i złe, który zawsze jest, nawet kiedy nikt nie ma dla ciebie czasu.

Przyjaciel, który jest dwadzieścia cztery godziny na dobę? To niesamowity punkt widzenia. Nigdy nie myślałam w ten sposób o Bogu. Po prostu był. Wiedziałam o Nim, chodziłam do kościoła. Przestałam, gdy zdenerwowało mnie wysłuchiwanie oskarżeń. W mojej parafii Bóg był zły i karał ludzi jak popadnie, aż miałam wrażenie, że mu to sprawia przyjemność. A za nim stado babek w beretach, rzucających we mnie różańcami.. Brrr...

Strząchnęłam się, ale nie wiem, czy to pod wpływem tej wizji, czy dlatego, że Kuleczka dobrał się do moich pięt, liżąc je swoim szorstkim języczkiem.

Usiedliśmy na pagórku przy drodze, tworzącym coś w stylu tunelu ze ścieżki. Rozłożyliśmy się na trawie, sprawdzając ostrożnie, czy aby nie grasują w niej wielkie kolorowe mrówki, które potrafią dobrać się do skóry. Nikola z trawką w zębach, nie bacząc na to, że ktoś ją mógł zanieczyścić, leżał z głową opartą na rękach i trzymając Kuleczkę na brzuchu. Zwierzak złożył się w kłębek na prążkowanej koszulce malca i sapiąc jak mały traktorek drzemał albo czuwał. Nadal nie potrafiłam sobie wyobrazić naszego wspólnego mieszkania. Chyba będę mu kupować pampersy.

Znów podziwialiśmy chmury, przesuwając je wzrokiem po niebie i utożsamiając z różnymi potworami. W repertuarze Nikoli dominowały dinozaury i smoki. Ja początkowo miałam problemy z wymyślaniem czegokolwiek, ale powoli się rozkręcałam, nadając chmurom kształt za pomocą wyobraźni. Kulawa ta moja wyobraźnia, ale jeszcze chyba do uratowania. Z akcentem na chyba. Nigdy przedtem, no, może w dzieciństwie, nie robiłam czegoś podobnego. A gdyby zobaczył mnie teraz ktoś z firmy, jak szukam na niebie pterodaktyla? W dodatku z dzieckiem niewiadomego pochodzenia. Co mi tam! Chwilowo przestało mi zależeć na opinii wszelkich ktosiów. Wyzwałabym ich na pojedynek szukania chmurnych kształtów. Już widzę ten sukces i radość z wygranej. Rzadko się zdarza, że obłoczki przybierają kształt cyferek, a oni najczęściej widzą tylko te albo w komputerze albo w portfelu. Czy i ja nie robiłam często podobnie?

Resztę dnia spędziliśmy z Nikolą i Kuleczką, spacerując po łące i zrywając kwiaty. A niech sobie myślą, że jestem wariatką i że mi odbija jakaś chłopomania. Mam to w nosie- razem z zapachem traw. Nie myślałam, że układanie bukietów może być tak wciągające. Chyba zacznę malować, bo kiedyś malowałam kwiaty. Każdy bukiet podarowany mamie uwieczniałam kredkami w specjalnym zeszycie. Gdzieś go nawet jeszcze chyba mam, ale zapomniany leży w szufladzie. Podobnie jak tysiące innych fajnych rzeczy, które można robić.

Niedziela

Tym razem nic mnie nie obudziło. Wstałam po dziesiątej sama, słysząc jak o dach namiotu uderzają powoli i dość pojedynczo krople deszczowe. Kuleczka spał zwinięty w kuleczkę i też niezainteresowany tym, co się dzieje na zewnątrz, gdzie raczej nie zapowiadało się ciekawie. Nie umawiałam się specjalnie z Nikolą. Nie wiedziałam, czy w ogóle przyjdzie ani też nie mówiłam mu, że dziś już wracam do domu. Myślałam, że mój mały rzep u psiego ogona pojawi się sam z pierwszymi promieniami słońca i propozycją wypicia świeżego mleka. Nie było go jednak. Deszcz kropił, sprawiając, że temperatura spadła o kilka kresek, a ja między kroplami przebiegałam do gospodarzy na śniadanie. I tu jadłam samotnie, odganiając turboodrzutowe muchy, próbujące dostać się do mojego talerza. W mieście nie czułam się tak kiepsko jedząc bez towarzystwa. Może dlatego, że wiecznie się spiesząc, nie miałam czasu na zastanowienie się nad tym, a w kawiarniach zwykle panował gwar.

Zjadłam, umyłam się w balii i postanowiłam wrócić do namiotu, zanim ulewa uniemożliwi mi jego złożenie. Poza tym mokry ważył o wiele więcej. Prawie na śmierć zapomniałam o Kuleczce, którego zostawiłam samopas. Na szczęście ani jemu, ani moim bagażom nie stała się krzywda. Jednak wiele bym dała za chociaż jeden pampers!

Próbując złożyć moje domostwo w odpowiednią kostkę,tak, aby pasowało do futerału, zauważyłam, że od strony kościoła zbliża się dość szybko jakiś mały człowieczek w garniturku. Biegł aż mu piasek strzelał spod nóg salwami, narażając odświętny strój właściciela na gruntowną potrzebę wyprania. Nie od razu poznałam Nikolę w tym przebraniu, butkach i z włosami na żelik. Wyglądał jak gentleman w wersji mini. Dopiero kiedy się zbliżył, poznałam jego pyzatą, upstrzoną piegami buzię.

- Dzień dobry!

Pomachał mi i poszedł przywitać się z psem, skomlącym zza muru moich gratów, który miał zapobiec jego ucieczce. Zupełnie jak królewna w wieży albo na wyspie ogrodzonej fosą. Widocznie nie czuł się tam dobrze, próbując za wszelką cenę wyjść.

- Dzień dobry, Kuleczko!
- Ależ jesteś elegancki. Nie poznałam cię.
- Wracam od Pana Boga.

Zaśmiałam się. Powiedział to tak, jakby faktycznie przyszedł z wizytą do przyjaciela.

- Wyjeżdżasz?- zauważył.
- Pakuję się. Muszę być w mieście na wieczór. Koniec wakacji- odparłam ze smutkiem.
- Ja to mam jeszcze kupę czasu.

Tak, on miał kupę czasu wolnego do września. Ja co najmniej mogłam zbierać kupę Kuleczki w ramach mojego czasu zajętego pracą, sprzątaniem mieszkania w sobotę, oglądaniem w nocy seriali, w których możliwy był happy end.

- Mogę cię odprowadzić?

Nie chciałam, by pojawiło się to pytanie. Mój rzep u psiego ogona, chociaż już mnie nie denerwował, co więcej, nawet zaczęłam go lubić, sprawił, że chciałam nie wracać do domu, gdzie nikt mnie nie będzie pytał dlaczego i po co, i jeszcze raz dlaczego. I nawet na świerszcza Cośmimówi jestem za stara. Zostaje tylko Kuleczka i jego psie maniery, które na pewno nie raz spowodują, że będę wspominać Nikolę i jego życiową filozofię. Uśmiechnęłam się na samą myśl o tym.

Plecak spakowany, Kuleczka w koszyku w rowerze, czas ruszać w drogę powrotną.

- Możesz mnie odprowadzić do końca Sadełkowa- zaproponowałam.

Nikola, który już myślał, że chcę się go pozbyć jak najprędzej, bardzo się ucieszył na tę perspektywę.

- Cieszę się, że cię poznałem- dodał.
- Ja też. To szczęście mieć takiego przyjaciela jak ty.

To go zatrzymało. Przechodziliśmy akurat koło bardzo wysokiego płotu, na którym ktoś starym zwyczajem zawiesił gliniane garnki i dzbanki różnej wielkości i koloru. Dla ozdoby chyba, w każdym razie pomysł był niezwykle ciekawy.

- Szczęście?- powtórzył.- Przecież dorośli nie używają tego słowa. Boją się go. Dlaczego?

Dlaczego? A czy ja mam pojęcie dlaczego ludzie dorośli, których znał Nikola boją się tego słowa, którego każdy chciałby zaznać. Ale zaraz. On ma przecież rację. Ileż to razy ja sama unikałam wypowiedzi „jestem szczęśliwa", żeby nie zapeszyć, żeby nie kusić losu.

- Wiesz Nikola, bo oni się boją być szczęśliwi ,żeby zaraz po tym nie być smutnymi.

Widziałam po wyrazie twarzy jak analizuje to, co powiedziałam, z małym zrozumieniem. Ściągnięte brwi, skupienie. Brakowało tylko, żeby podnosił łapkę do głowy, stukając się w nią, mówiąc: „Myśl, myśl, myśl".

- Moja babcia mówi, że kto w piątek skacze, ten w niedzielę płacze. O to chodzi?

Zaśmiałam się. Ile razy śmiech gościł na mojej twarzy za pomocą tego malca?

- Może niekoniecznie. Po prostu był taki Faust, który kiedy był bardzo szczęśliwy, to powiedział, żeby ta chwila trwała i trwała, bo jest piękna, albo wieczna, bo już nie pamiętam dokładnie. No i wtedy całe to jego szczęście diabli wzięli. I ludzie dorośli wolą udawać, że nie są szczęśliwi, żeby nie przywoływać nieszczęścia. Boją się, że jak to głośno powiedzą, to psyt i radość im ucieknie i znów będą smutni.

Ależ wywód strzeliłam! Byłam pod wrażeniem samej siebie. I jeszcze to powołanie się na Fausta. Powinnam z tego zrobić prezentację multimedialną.

- Ale głupie!- nie doczekałam się jednak braw; chłopiec wyglądał na niezadowolonego z przedstawionego przeze mnie poglądu.
- To jakby wchodzić na drzewo, na sam czubek, widzieć stamtąd cały świat i nie cieszyć się, bo można zlecieć i złamać nogę. Totalnie głupie!

Rację to on miał i przykład niczego sobie.

- To ludzie dorośli nigdy przez to nie są szczęśliwi. Bo i tak, jak ma się stać coś złego, to się stanie. Czy się będą nie cieszyć, czy nie.

A swoją drogą, to dotarliśmy do granicy Sadełkowa. Przed nami rozpościerała się nieziemsko kolorowa łąka, a za nią las, który osłaniał to bajeczne miejsce przed wpływami miasta.

- No to przyszło nam się rozstać- powiedziałam, z jakimś takim dziwnie załamującym się głosem.

Ale do cholery, nie chciałam się rozstawać. To może głupio zabrzmieć, ale pokochałam tego smarkacza jak nikogo na świecie.

- Przyjedź w przyszłym roku z Kuleczką- ściskał psa, próbującego pożreć jego małe tłuste paluszki.
- Do widzenia!- wyciągnęłam do niego rękę do uścisku, ale on zamiast tego przytulił się do mnie z głową gdzieś w okolicy pasa.

Pierwszy raz w życiu przytuliło się do mnie dziecko. Dość spore, ale dziecko. Nic na świecie chyba nie daje takiego uczucia jak to.

A potem zabrałam szczeniaka, wsiadłam na rower i puściłam się pędem na wskroś przez łąkę, wiedząc, że on macha do mnie z tyłu na pożegnanie. W tym swoim garniturku niedzielnym. A ja nie mogę tu zostać. Łzy kapały mi po policzkach, rozwiewane wiatrem po całej twarzy, szyi i kołnierzu, a łąka pachniała jak zawsze, po swojemu, trawiasto i ziołowo.

Zatrzymałam się dopiero na skraju lasu, dysząc ciężko od tej szalonej jazdy. Odwróciłam się z nadzieją, że na wzgórzu zobaczę mały punkcik, ale Nikoli nie było. Tylko Kuleczka piszczał w koszyku, świadcząc o tym, że to wszystko mi się nie przyśniło. Że moja zmęczona pracą głowa nie wymyśliła sobie pyzatego chłopca o bogatej życiowej filozofii.

W lesie panował przyjemny chłód, pachnący żywicą, chrupiący szyszkami pod stopami. To ostatnie chwile moich tegorocznych wakacji. Wyjeżdżając na rowerową wyprawę, nie myślałam nawet, że będzie taka dziwna, z przygodami, z poznaniem Nikoli, że wrócę z psem. Głupio robi człowiek, który nie wychodzi z domu, myśląc, że jedyne co może go spotkać, to coś złego. Guzik prawda! A teraz mogłam otwarcie powiedzieć, że jestem szczęśliwa, nawet jeśli jutro szef zrówna mnie z ziemią!

W ciągu kilku minut niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami, a las zaczął przekazywać sobie wiadomość o nadchodzącym deszczu, falując czubkami drzew. Przezornie ubrałam się w pelerynę, a koszyk ze śpiącym szczeniakiem nakryłam z wierzchu reklamówką. I dobrze, bo po chwili przedarły się przez konary pierwsze krople deszczu. Miałam nadzieję, że Nikola zdążył do domu, bo szkoda by było jego garniturka i ułożonej fryzurki. Jeśli kiedyś będę miała synka, chciałabym, aby był taki jak on... Czyżbym się zmieniła przez te kilka dni? Jeszcze przed urlopem, kiedy ktoś wspominał mi o dziecku, reagowałam spazmatycznym śmiechem, dowodząc, że sama jeszcze jestem jak dziecko. O rety, kotlety, chyba się trochę zmieniłam, a może po prostu mi odbiło.

Coraz większe krople bębniły o kaptur płaszcza, próbując zagłuszyć moje myśli, a z każdą kropelką byłam coraz bliżej miasta. Drzew coraz mniej, a za to więcej śmieci w rowach obok żwirówki. Musiałam uważać, żeby nie przebić opon. A potem już tylko asfaltowa, szeroka szosa i domu urastające do bloków. I mój blok. Wstawiłam rower do garażu i nie odzywając się do nikogo, żeby móc bez pytań spokojnie przemycić Kuleczkę, ruszyłam na górę piechotą, nie jak zazwyczaj windą.

Szkło, metal i pusta lodówka powitały mnie chłodno i chyba po raz pierwszy poczułam, że nie jest mi dobrze w moim własnym mieszkaniu. Mieszkaniu, bo nie domu. a gdyby były tu jakieś kwiaty, choćby nawet kaktusy, kot, dzieci tupiące jak tabun koni po posadzce albo przynajmniej jakiś facet... Kuleczka już zaczął zwiedzać. Łapy ślizgały mu się po szklanej podłodze, ale z uporem maniaka sunął do jedynego w pomieszczeniu dywanika przy kanapie, gdzie po chwili ułożył się wygodnie, zwijając w kłębek. Jutro kupię mu karmę i jakiś domek, bo na tym rozjechanym baranie długo nie pociągnie. A po pracy zabiorę go na spacer do parku.

Chyba jest tu gdzieś jakiś park w pobliżu. Poszukam na mapie. Albo jak będę jechać autobusem, to się porozglądam, zamiast czytać po raz dziesiąty zestawienia. Jutro, jutro...

Poniedziałek

Wstałam wcześniej niż zwykle, słysząc skomlenie. Sporo czasu zajęło mi zorientowanie się, że to Kuleczka, który jest teraz mój. Swoją drogą, cóż za rozczarowanie, że to nie namiot rozstawiony pod wiśnią, tylko moje, na szczęście wygodne, łóżko.

Tak, jak się spodziewałam dywanik miał mokro, zresztą nie tylko dywanik, bo po drodze do łazienki kilka kałuż minęłam. Dziś będzie spał więc w wannie ten mój mały przyjaciel. Zjedliśmy razem śniadanie z tego, co było w lodówce i zaraz zaczęłam szykować się do pracy. Przez te kilka zaledwie dni odzwyczaiłam się od eleganckich ciuchów, od tego, żeby pachnieć perfumami a nie wiatrem., bo wtedy tak mi było dobrze. Włożyłam do torby tysiąc niepotrzebnych rzeczy, w tym telefon, który wiecznie dzwoni, wcale mi go nie brakowało. Wyszłam z apartamentowca, zostawiając szczeniaka z pozwoleniem na zdemolowanie mi domu i ze sporą ilością jedzenia, jakby zgłodniał. Postanowiłam przejść się pieszo.

Niebo po deszczu przybrało świeżą barwę błękitu, zupełnie bez chmur. Zapowiadał się słoneczny, piękny dzień. Na kwiatach ustawionych wzdłuż drogi przy chodnikach promieniały diamentowe krople rosy lub jeszcze deszczu, ożywiając kolory pelargonii i ułanek. Z jednej z rynien kamienicy lała się jeszcze woda, pryskając na przechodniów, którzy klęli pod nosem, a przecież sami nie zauważywszy, wchodzili w nią.

Przeskoczyłam kałużę z lekkością dziecka i bez wyrzutów sumienia, że ktoś się będzie ze mnie śmiał. Kiedy nagle przystanęłam jak wryta... Mniej więcej w połowie chodnika zauważyłam dużego winniczka zmierzającego nieuchronnie w stronę asfaltu jezdni, za którą znajdował się piękny soczysty trawnik na skwerze i kilka drzew. Schyliłam się i wzięłam ślimaka za muszlę. Schował się cały, tylko jeden róg mu lekko wystawał jakby sprawdzał, czy nie jestem drapieżnikiem. Nie byłam. Korzystając z okazji, że nieopodal zapaliło się czerwone światło i wstrzymało rzekę aut, przebiegłam przez ulicę, kładąc skorupiaka na liściu kwiatów rosnących pod drzewem. Chwilę poczekałam, aż zwierzę wystawi rogi, co oznaczało, że z mojego powodu nie dostał zawału i mimowolnie uśmiechnęłam się.

Jeszcze raz spojrzałam na niebo, tym razem przez gałęzie rozpościerające się nade mną. Pomyślałam o małym chłopcu, który tak wiele mnie nauczył, który pokazał mi, co znaczy być. Kimkolwiek jesteś Nikola - dziękuję.

Emilia Chomutowska